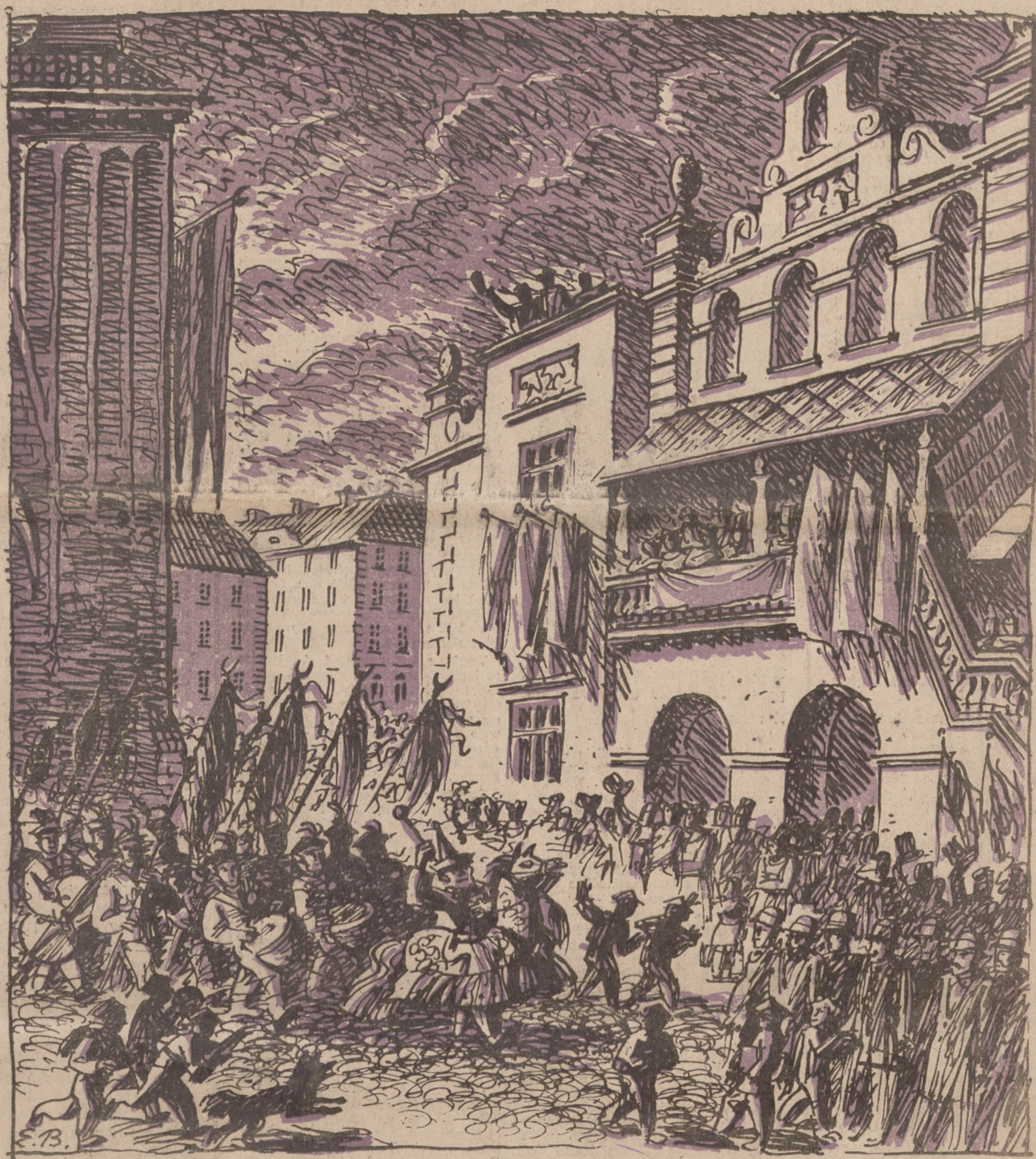
TYDZIEŃ

Nr 23 (47) ROK II

8. VI. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIS: WYWIAD SPECJALNY Z WICEMARSZAŁKIEM STANISŁAWEM SZWALBEM

tak i nie

Znasz-li ten raj...

W „Dzienniku Łódzkim" Nr. 134 z roku bieżącego ukazała się następująca wiadomość:

„Warszawa, 17.5. W trakcie dzisiejszej konferencji PPR w Warszawie, Minister H. Minc wygłosił następujące przemówienie: „Chcę omówić najważniejsze aktualne zagadnienia gospodarcze w naszym raju...".

Nie jest to bynajmniej dowcipne przejęzyczenie się Ministra. To zwykły chochlik drukarski. Minister Minc powiedział wyraźnie: „w naszym kraju".

Rewelacje

PASTOR angielski C. G. Griffith, wikariusz parafii St. Leonard on Sea, odwiedził niedawno Niemcy i po powrocie z brytyjskiej strefy okupacyjnej złożył swoim owieczkom obszerne sprawozdanie. Opisał panujące stosunki polityczne, podkreślając istnienie silnych prądów hitlerowskich. Dla ilustracji swego poglądu podał, że 75 proc. funkcjonariuszów policji w Szlezwiku to zdecydowani hitlerowcy.

To zresztą nie są rewelacje. Natomiast naprawdę zdumiewająca jest informacja, udzielona przez czcigodnego pastora o zachowaniu się angielskich władz okupacyjnych. Przedstawiciele wojskowego zarządu prosili pastora, by nie ogłaszał publicznie tego, co widział. Była to jedyna reakcja, jaką wywołały uwagi o panoszeniu się hitlerowców.

Kanał który nawodni 100.000 hektarów

W ROKU bieżącym rozpoczęto budowę wielkiego, bo liczącego 400 km długości, kanału nawadniającego. Połączy on rzeki: Amu Daria, Murgab i Tendshen w Turkmenii Radzieckiej. Poza budową kanału przewidziana jest również budowa wielkich sztucznych rezerwuarów. Całość gigantycznego projektu jest obliczona w ten sposób, by dostarczyć wody dla 100.000 hektarów dotychczas całkowicie bezwodnej pustyni między Uralem a Morzem Kaspijskim.

Głównymi produktami hodowanymi na uzyskanych w ten sposób terenach rolnych będą bawełna i krzewy morwowe. Obliczają, że produkcja bawełny i jedwabiu na obszarze Turkmenii wzrośnie, dzięki kanałowi, przynajmniej w dwójnasób.

Demokracja po turecku

TURCJA wkracza zdecydowanie na drogę obrony „demokracji". Jednym z ostatnich charakterystycznych posunięć jest faktyczne rozwiązanie związków zawodowych. Zamiast nich Turcja wprowadza organizacje korporacyjne według wypróbowanego wzoru faszystowskiej Italii i Hiszpanii gen. Franco. Pierwsze tego rodzaju „korporacje" zostały utworzone w przemyśle metalurgicznym. Szefami mianowano gubernatora okręgu i komisarza dla spraw pracowniczych. Robotnikom nie wolno strajkować, utrzymywać stosunków z robotnikami innych przemysłów i rozwijać działalności politycznej.

Tak wygląda turecki model demokracji.

Sprzeczności chińskie

WŁADZE chińskie w Szanghaju wydały zakaz zawijania statków zagranicznych do portu w Tsing-Tao bez uzyskania specjalnego zezwolenia. Zakaz korzystania z tego portu nie stosuje się do okrętów amerykańskich.

Nie podano uzasadnienia dla tego posunięcia, ale dziennik „Ta Kung Pao" wymienia wyraźnie „względy natury wojskowej". W istocie port został zamieniony na bazę morską dla 7-ej floty amerykańskiej. Innymi słowy port Tsing-Tao jest zamknięty dla jednych, otwarty dla drugich, a gen. Marshall powiedział, że Ameryka wycofuje wojska z Chin. Ale wojsko to nie marynarka, a politycy są tak dokładni w doborze wyrazów...

Szczyt techniki

W CHWILI, gdy Związek Radziecki zniósł karę śmierci, z Ameryki nadeszła inna wiadomość. Więzienie w St. Quentin, w Kalifornii, zostało zaopatrzone w najnowocześniejszą izbę do gazowania. Jest to ostatni wyraz techniki w dziedzinie egzekucji. Pokój otoczony jest galerią dla świadków. Szklana ściana oddziela ich od krzesła, na którym ma się znaleźć skazaniec. Jedno naciśnięcie guzika wyzwala śmiercionośny gaz.

Z powyższego widać, że praca „naukowców" niemieckich nie poszła na marne.

Nafta szuka robotników

KAPITAŁ amerykański, interesujący się tak niezmiernie żywo naftą na Bliskim i Środkowym Wschodzie, poszukuje obecnie robotników do nowootwartych szybów. Ostatnio prowadzona jest akcja werbunkowa na terenie Libanu. To jednak nie jest takie proste, gdyż nafciarze nie przyjmują każdego zgłaszającego się kandydata. Musi on przejść badanie polityczne. Na jaką partię zamierza głosować w nadchodzących wyborach.

Jeden z robotników odpowiedział wymijająco: „Poglądy mojej rodziny są podzielone, część jest za jednymi, a część za drugimi". — „Dobrze, ale na kogo ty będziesz głosował?" — pyta dalej inkwizytor. „Ja będę głosował tak, jak moja rodzina" — brzmiała odpowiedź.

Ostrze na ostrze

Wuj Sam chce sam...



Na własne oczy widział Hoover zniszczenia dokonane przez Niemców w Warszawie. A mimo to...

Wuj Sam jest indywidualistą — wyrażając się z pełnym zachowaniem dyplomatycznej uprzejmości. Wuj Sam nudzi się i traci równowagę ducha, gdy przy jakimś wysiłku zbiorowym zbyt wiele trzeba poświęcać uwagi sprawom i interesom sojuszników, a dawnych towarzyszy broni. Wuj Sam woli sam... opracowywać plany architektoniczne i sam... zarabiać na nich.

A było to tak. Wraz z przyjaciółmi czasu wojny zamierzał on wspólnie odbudować dla narodów, miłujących pokój i wolność, zburzony dom. Gdy jednak usuwanie gruzów, pierwsza konieczna czynność, łącznie z kładzeniem fundamentów, okazały się procedurą mozolną i długotrwałą, Wuj Sam zniecierpliwił się. Oświadczył także, iż nie podoba mu się przewidziana lista lokatorów, mających zająć nowy dom.

— Nie odpowiadają mi ich zwyczaje — oświadczył dumnie. Mam innych kandydatów, którzy pilnie potrzebują pomocy... — mówiąc to z rozczuleniem zerknął w stronę niedawnych swych wrogów, którzy przybrawszy minę skruszoną i pobożną biadali na swój ciężki los.

— Zbuduję dla nich dom i odnajmę każdemu osobny pokój, a oni mi będą płacić za to dobry czynsz... Mój dom będzie nosić nazwę: „Pax Americana"!

* * *

„New York Times" nazwał w swoim komentarzu byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Hoovera jednym z głównych architektów nowej polityki amerykańskiej.

Najnowszą próbką twórczości tego sędziwego architekta jest bowiem plan szerokiej pomocy finansowej dla Niemiec, Japonii i Korei oraz propozycja zawarcia z Niemcami i Japonią odrębnego pokoju ze względu na zwłokę w międzysojuszniczych rokowaniach traktatowych.

Szeroka reklama dookoła tego projektu wywołała jednak polemikę i protesty nawet wśród współziomków Wuja Sama, którego znakomitym wcieleniem jest Herbert Hoover. Znany publicysta Lippman przypomina pewne niefortunne poczynania po pierwszej wojnie światowej, gdy Herbert Hoover był jednym ze sprawców zawarcia przez Stany Zjednoczone traktatów z Niemcami, Austrią i Turcją z pominięciem traktatu wersalskiego. Co z tego wynikło — odczuliśmy w czasie drugiej wojny...

Wuj Sam postanowił w dodatku zastosować zagęszczenie lokatorów w swojej czynszowej kamienicy. Ktoś ośmielił się bowiem rzucić żart, że niewiele brakuje, by Wuj Sam sam stał się sojusznikiem niesławnej pamięci osi, takim kołodziejem, naprawiającym złamaną Oś.

Trzeba zatem rozejrzeć się jeszcze za innymi lokatorami. Oczywiście muszą to być „ustroje nadające się do przyjęcia" według słów b. podsekretarza stanu, Achesona coś, co by pasowało do Niemiec i Japonii — „obrońców granic zachodniej cywilizacji", jak ich nazwał w swoim oświadczeniu Hoover.

Szukaj, a znajdziesz. Znaleźli: Turcję, Grecję, ostatnio nawet Włochy. Ustroje nadają się do przyjęcia. Dobrze, że nie zaznaczono — dla kogo do przyjęcia? Ale przecież, nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Amerycе, Wujowi Samowi — tak. Narodom — greckiemu, włoskiemu, tureckiemu — podobno mniej. Lecz to nieważne.

Nie trudby się zapewne niefortunny wódz Trzeciej Rzeszy w noc poślubną, zbankrutowany twórca „Pax Germana", gdyby w najśmielszej swej fantazji przewidzieć mógł te wszystkie paradoksy. Zapłaciłby teraz swoje 2 tysiące marek kary za należenie do partii, jak uczynił to Wilhelm von Opel i wielu innych i pomagałby, dla odmiany, bronić Wuja Sama.

* * *

Projekty Herberta Hoovera, jakkolwiek stały się przedmiotem „żywego zainteresowania" ze strony czynników miarodajnych Ameryki, nie przybrały jeszcze na razie realnych kształtów. Co zwycięży? Jego „Pax Americana", którego paragrafy przypominają raczej umowę handlową, czy też — tak sądzi zresztą wielu obywateli Nowego Świata — „Pax Humana" — lepszy, bo trwalszy, budowany wolniej, lecz cierpliwie i zgodnie przez wszystkich ludzi dobrej woli, którzy swego czasu, nie szczędząc ofiar, przyczynili się do wspólnego zwycięstwa — ogólne ludzki pokój?

AVIS

NASZA OKŁADKA



rys. Edmund Bartłomiejczyk

Kraków obchodzi w oktawę Bożego Ciała uroczystość znaną pod nazwą „Konika Zwierzynieckiego" lub „Lajkonika" na pamiątkę odparcia najazdu Tatarów za Leszka Czarnego. Właśnie podczas procesji Bożego Ciała dano znać do miasta, że oddział Tatarów popełnia gwałty na przedmieściach Zwierzyńca. Wybuchła panika i rozpacz. Wtedy jeden „z włóczków zwierzynieckich" (włóczkami nazywano w Krakowie ludzi trudniących się spławem drzewa na Wiśle) porwał za chorągiew, wygłosił podniosłe przemówienie i na czele uzbrojonego ludu pospieszył na Zwierzyniec. Tatarzy zostali odparci, a waleczny krakowianin, przystrojony w ubiór zabitego dowódcy Tatarów został wprowadzony do miasta i powitany okrzykami radości, mieszkańców Krakowa.

Edmund Wasilewski uczcił to następującym wierszem:

Ale prędzej dęby w lesie
Zegnie oddech burzy
I na wióry je roznіesie,
Nim krakowiak stchórzy.
Przypadł włóczek ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnywać
Piorunową chmurę.

Zanim w warkocz nocy
Słońce włosy zwiło,
Na wiślanym brzegu
Tatarów nie było.
Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli
I trupów taborem Zwierzyniec zaległ.

Na pięknych Bermudach

NIEDOBRZE się dzieje w koloniach.

Szczególnie niedobrze jest na Bermudach. W obszernej petycji, złożonej rządowi w Londynie, związki zawodowe działające na terenie wysp wykazały, że tylko 12 proc. dorosłych mieszkańców wysp ma prawo wyborcze, że bogaci ludzie korzystają z kilku głosów, że nie są ściągane żadne podatki bezpośrednie i w praktyce bogaci ludzie nie płacą w ogóle nic; że nie ma żadnej ochrony pracy, ani ubezpieczeń społecznych. Związki zawodowe pozbawione są wszelkich praw; nie wolno im wydawać nawet czasopisma.

Dotychczas Ministerstwo Kolonii nie zareagowało ostrzej na powyższy stan rzeczy. Posłało tylko instrukcje do dotychczasowego gubernatora.

tak i nie STRONA 4

NIE MA WALKI Z DROŻYZNĄ I SPEKULACJĄ
BEZ JAK NAJWIĘKSZEGO ROZWOJU SPÓŁDZIELCZOŚCI

Wywiad specjalny wicemarszałka Stanisława Szwalbego dla „Tygodnia"

Szeroka wymiana poglądów pomiędzy stronnictwami politycznymi oraz dyskusje w łonie zainteresowanych sfer gospodarczych na temat pewnych niepokojących objawów w naszym życiu ekonomicznym, wyrażających się przede wszystkim zwyżką cen na artykuły pierwszej potrzeby, doprowadziły w wyniku do uzgodnienia szeregu metod i środków walki z drożyzną. Rząd przedłożył Sejmowi dekrety, mające na celu szybkie i skuteczne uporządkowanie rynku finansowego i towarowego.

Zarówno debaty sejmowe, jak i poprzedzające je polemiki poruszyły wiele istotnych zagadnień, których rozwiązywanie stać się powinno elementem, wzbogacającym nasz dorobek planowej gospodarki. Na pierwszy plan wysuwa się usprawnienie systemu wymiany, w którym spółdzielczość jest najważniejszym, choć nie jedynym ogniwem.

Pragnąc naświetlić szerzej rolę spółdzielczości w podjętej przez rząd i społeczeństwo walce o poprawę sytuacji gospodarczej, redakcja „Tygodnia" zwróciła się do Wicemarszałka Sejmu Stanisława Szwalbego, jako wieloletniego działacza spółdzielczego, z prośbą o udzielenie na ten temat wywiadu.

— Za chwilę rozpocznie się znów posiedzenie Sejmu — mówi Wicemarszałek, przyjmując przedstawicielkę „Tygodnia" w swoim biurze sejmowym — ale odpowiem chętnie na wasze pytania.

— Jakie znaczenie dla dalszego usprawnienia i rozwoju spółdzielczości posiadają nowouchwalone w Sejmie ustawy? — pytam na wstępie.

— Dla spółdzielczości po uchwaleniu ustaw antydrożyźnianych zarysowują się nowe zadania, nie mówiąc już o konieczności kontynuowania normalnej działalności aprowizacyjnej i handlowej. Jedno z tych zadań polega na tym, iż aparat pracownicy spółdzielczości powinien stać się kośćcem komisji cennikowych oraz obywatelskich komisji podatkowych. Któż bowiem bardziej, niż spółdzielcy, którzy zawsze musieli pracować z ołówkiem w ręku, którzy wiedzą, co to znaczy bilans, budżet, kalkulacja — jest powołany do opracowywania w życiu codziennym zagadnień i notowań cennikowych i opracowywania stawek podatkowych? Jawność kalkulacyjna handlu spółdzielczego może być rzeczową podstawą dla działalności organów kontrolujących ceny i wymierzających, względnie opiniujących wymierzanie podatków.

— Jaka jest przewidziana w świetle dyskusji sejmowych rola spółdzielczych domów towarowych?

— Minister Minc w imieniu rządu zapewnia, że oprócz poparcia inicjatywy tworzenia państwowych domów handlowych, Ministerstwo Przemysłu i Handlu jako ministerstwo resortowe poprze — cytuję dosłownie — ze wszystkich sił inicjatywę i gospodarkę domów spółdzielczych. Jak wiadomo, przedstawiciele spółdzielczości złożyli kilka konkretnych projektów. Należy sądzić, że w najbliższym czasie Komitet Ekonomiczny ustali planową sieć rozbudowy domów towarowych spółdzielczych i państwowych, a wówczas resortowe ministerstwa będą mogły przystąpić do realizacji uchwalonego przez Komitet Ekonomiczny planu.

— Jaka rola w najbliższym okresie przypadnie spółdzielczości w skupie zboża?

— W świetle dyskusji sejmowej oraz wyjaśnień posła Żerkowskiego, który zabierał głos w imieniu spółdzielczości, jasne jest, że spółdzielczość może być w obecnym stanie rozwojowym czynnikiem regulującym, zakupując zboże. Czynnik ten musi być sharmonizowany z innymi czynnikami, prowadzącymi również skup zboża i oczywiście — scentralizowany. To znaczy, że skup



może być prowadzony przez każdą spółdzielnię na własną rękę, a musi być koordynowany przez własną centralę. Muszę powiedzieć, że w ogóle ta akcja ma znaczenie przejściowe, gdyż jest oczywiste, iż właściwa akcja będzie się dopiero w najbliższym czasie przygotowywała do kampanii 1947/48-go roku. Osobiście — jestem zdania, że na tle niezbyt pomyślnie zapowiadających się zbiorów skutkiem ostrej zimy, powodzi i obecnej suszy potrzebne będą znacznie dalej idące środki celem uregulowania zakupu zboża dla miast — monopol zbożowy lub t. p. W każdym razie, rola spółdzielczości w zakresie obrotu zbożem, jeśli rzeczywiście chce się uzdrowić wymianę towarową w Polsce, nie tylko nie może zmaleć, lecz musi stale wzrastać.

— Jak ocenia Obywatel Marszałek całokształt dyskusji sejmowych w odniesieniu do roli spółdzielczości w naszym życiu gospodarczym?

— Uważam, że dyskusja sejmowa wykazała, iż cały polski obóz demokratyczny zdaje sobie sprawę, jak wielkie znaczenie posiada rozwój spółdzielczości dla gospodarki w państwie ludowym. Przedstawiciele wszystkich stronnictw demokratycznych wypowiadali się za dalszym rozwojem sektora spółdzielczego. My, spółdzielcy, mamy nadzieję, że deklaracje te zamienią się obecnie w czyn. Chciałbym stwierdzić, że ten, kto wytwarza klimat nie sprzyjający spółdzielczości, nie przyczynia się do rzeczywistego organizowania walki z drożyzną. Chciałbym zakończyć oświadczeniem: nie ma w Polsce i nie może być istotnej walki z drożyzną i spekulacją bez jak największego rozwoju spółdzielczości. Znaczenie handlu innych sektorów zawsze będzie mniejsze dla regulacji cen w detalu, niż rola dobrze działającej i rozwijającej się spółdzielczości.

Wywiad przeprowadziła
LARYSSA ZAJĄCZKOWSKA.

Prezes Żerkowski:

W tej walce
deklarujemy swój udział

Na posiedzeniu Sejmu w dniu 2 bm. w dyskusji nad projektami ustaw zmierzającymi do położenia kresu drożyźnie i spekulacji, zabrał głos prezes „Społem", poseł Jan Żerkowski, który oświadczył między innymi:

Wystarczy spojrzeć na ulicę Marszałkowską, na setki sklepów prywatnych, płacących zawrotne czynsze, przeładowanych luksusowymi towarami, aby znaleźć potwierdzenie tego znanego faktu, że spekulacja, że czarny rynek nie jest objawem chwil ostatnich. My, socjaliści, w ruchu spółdzielczym widzimy najlepsze narzędzie walki ze spekulacją. W przybliżeniu spraw codziennych do człowieka, w bezpośrednim zaspokajaniu jego potrzeb powszednich widzimy cel istnienia i działania spółdzielczości. I od dwóch lat wytężamy wszystkie siły, aby ruch ten należycie zorganizować i przystosować do jego zasadniczych celów.

Spółdzielczość krytyki się nie boi, chętnie ją przyjmuje. Wszystko jednak, co zostało powiedziane w dyskusji o spółdzielczości, a szczególnie o „Społem", z całą pewnością dalekie było od wyjaśnienia istotnych przyczyn trudnej sytuacji gospodarczej oraz dalekie było od pełnej i wszechstronnej oceny wyników działania spółdzielczości.

Przede wszystkim z całą siłą pragnę podkreślić, że spółdzielczość nie ma żadnej tendencji, by — jak to się mówi złośliwie — stać się państwem w państwie. Wprost przeciwnie, spółdzielczość oddaje się całkowicie do dyspozycji państwa ludowego w zakresie wszystkich wielkich jego obowiązków i zadań, które ma do wykonania.

Owszem, spółdzielczość jest nie tylko aparatem gospodarczym, ale również ruchem społecznym, nie ma jednak żadnej ambicji, by tworzyć odrębny — poza wielkim ruchem wyzwoleńczym całego ludu pracującego — nurt społeczny. Jesteśmy jedną ze specjalnych gałęzi tego wielkiego ruchu, który obejmuje tak związki polityczne, jak zawodowe, jak i również spółdzielcze. Spółdzielczość zawsze walczyła z ustrojem kapitalistycznym, by przyspieszyć nadejście państwa ludowego. Z chwilą, kiedy ten cel został osiągnięty, jest nie do pomyślenia, by ruch spółdzielczy we własnym państwie — państwie ludu pracującego — chciał być jakąś wyizolowaną wyspą. Nie może być mowy o przeciwstawianiu tych dwóch pojęć gdyż państwo ludowe i spółdzielczość to te same zorganizowane masy robotników i chłopów.

W tej walce, którą nazwano walką gigantyczną o sprawiedliwą cenę dla robotnika, o sprawiedliwą cenę dla mas pracujących, spółdzielczość deklaruje pełny swój udział. Można postawić pytanie, czy aparat spółdzielczy legitymuje się dostatecznym dorobkiem, by spotkać się z zaufaniem do takiej deklaracji. Mimo jakiekolwiek krytyczne uwagi i jeszcze niedomagania tkwiące w spółdzielczym aparacie, możemy z pełnym poczuciem odpowiedzialności stwierdzić, że cała nasza dotychczasowa działalność od pierwszej chwili wyzwolenia stanowi dostateczną rękojmię, że spółdzielczość w tej walce odegra rolę niepoślednią. W chwili obecnej dysponujemy siecią 15 tysięcy punktów detalicznych, 300 hurtowni powiatowych oraz około 100 hurtowni wojewódzkich branżowych. Nie ma w Polsce w tej chwili innego aparatu hurtowego, który by posiadał tak wszechstronną sieć. 15 tysięcy punktów detalicznych mimo wszelkich pozorów nie ginie wśród kilku dziesiątków tysięcy punktów detalicznych tak zwanej inicjatywy prywatnej. Poszczególne spółdzielnie, powiązane z hurtownią spółdzielczą, mogą w pełni dyktować ceny na miejscowym rynku, łamiąc tendencje spekulacyjne różnych reakcyjnych elementów.

Spółdzielczość w ciągu dwóch lat dokonała ogromnego wysiłku. Nie ma w historii przykładu szybszego, energiczniejszego rozwoju jakiegokolwiek aparatu, aniżeli to, co zrobiła nasza spółdzielczość od chwili wyzwolenia, do powstania Polski demokratycznej. Oto cyfry: 10.311 spółdzielni, 3.162.000 członków, 14.696 punktów sprzedaży, w tym: 694 sklepy włókiennicze, 466 księgarsko - papierniczych, 397 nabiałowych, 392 galanteryjno - żelaznych, 371 mięsno - wędliniarskich, 345 składów rolniczych i wiele innych, razem około 4.000 sklepów branżowych. Ponadto tysiące drobnych zakładów wytwórczych oraz pełna sieć hurtowa w ilości 300 hurtowni powiatowych i 100 placówek specjalnych w województwach czy w rejonach gospodarczych.

Wracam do wnoisku, przedłożonego przez Rząd w sprawie walki z drożyzną. Projekt tej ustawy, przyjęty jednogłośnie na posiedzeniu Rady Ministrów, jest wyrazem jedności natychmiastowego działania jednolitego frontu klasy pracującej. Tak jak projekt ustawy przeszedł jednomyślną uchwałą na Radzie Ministrów, tak samo wykonanie techniczne ustawy w życiu codziennym winno być przeprowadzone przy daleko idącym porozumieniu i wzajemnym zaufaniu wszystkich zainteresowanych czynników. Spółdzielczość w wykonaniu tej ustawy weźmie najpełniejszy udział. Oddając do dyspozycji Państwa cały swój aparat, wyrażamy pełne przekonanie, że wszystkie nasze wysiłki odniosą swój skutek, doprowadzając do uporządkowania wymiany towarowej i do pełnego zaopatrzenia klas pracujących. Spółdzielczość, która jest narzędziem bezpośredniego działania gospodarczego tych klas, nie zawiedzie zaufania.

Churchill i linia Curzona



rys. Julian Żebrowski

Sprawa granic Polski jest przedmiotem gry pewnych kół politycznych na Zachodzie. Sprawę tę ze świadomie złą wolą przedstawiają w ten sposób, że Związek Radziecki jakoby na własną rękę wyznaczył nową swą granicę zachodnią i że z drugiej strony, ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone nie zobowiązały się do wyznaczenia nowej granicy Polski z Niemcami. W tej sprawie mamy do zanotowania ciekawy dokument.

Oto Jan Ciechanowski, b. ambasador rządu emigracyjnego przy rządzie waszyngtońskim, ogłasza w paryskim tygodniku „Une semaine dans le monde" artykuł, dotyczący rozmów przeprowadzonych w Moskwie w październiku 1944 r. przez reprezentantów emigracji londyńskiej. Delegacja, która przybyła z Londynu, składała się z pp. Mikołajczyka, Romera i Grabskiego. Według relacji Ciechanowskiego w rozmowie, która odbyła się 12 października z udziałem tych Polaków i przedstawicieli Wielkiej Trójki. Churchill oświadczył, że zdaniem rządu brytyjskiego „wielkie ofiary, jakie poniosła Rosja, aby uwolnić Polskę, upoważniają ją do domagania się linii Curzona".

W czasie tej rozmowy minister Mołotow złożył doniosłej wagi oświadczenie. „Powiedział on — relacjonuje Ciechanowski — że w Teheranie prezydent Rooesevelt wyraził swą absolutną zgodę co do linii Curzona, wyznaczoną jako ostateczna granica między Polską i Z.S.R.R. Jednocześnie wyraził on przekonanie, że decyzja ta wydaje mu się korzystną zarówno dla Polski, jak i dla Związku Radzieckiego. Ponieważ rzecz tak się miała w rzeczywistości — dorzucił Mołotow — musimy przyjąć za pewnik, że linia Curzona została zadecydowana nie tylko przez Z.S.R.R. i przez Wielką Brytanię, lecz przez Wielką Trójkę.

Na zakończenie posiedzenia „Churchill i Stalin wyjaśnili, że są zdecydowani zakreślić zachodnie granice Polski, aż po Odrę".

W świetle tej relacji wyraźnie widać, że granice Polski na wschodzie i na zachodzie zostały wyznaczone zgodnie przez wszystkie trzy wielkie mocarstwa i że kwestionowanie granic Polski przez tych, czy innych polityków anglo-amerykańskich ma wyłącznie za zadanie dzisiaj skłócenie Polski ze Związkiem Radzieckim, którego stanowisko od początku było jasne i niedwuznaczne.

tak i nie

O dobrych i złych obyczajach

KRYTYKA nie jest tylko dobrym prawem, ale i obowiązkiem prasy. Źle dzieje się, gdy ktoś działa i nie podlega krytyce. Zawsze bowiem popaść musi w błędy i rozminięcie się z rzeczywistością. „Kto działa i nie podlega krytyce, znajduje się w sytuacji ślepego".

Koniecznym jednak warunkiem należytego wypełnienia szczytnego obowiązku jest wykonanie go z poczuciem odpowiedzialności i uczciwości dziennikarskiej.

Podczas ostatniej, prowadzonej przez część prasy kampanii przeciwko spółdzielczości, nie zawsze, niestety, zachowane były te zasady.

Oto garść przykładów.

Jeden z dzienników, zastanawiając się nad przyczyną złego gatunku chleba, usiłuje obarczyć odpowiedzialnością aparat spółdzieczy, który rzekomo nie dba o należyte przechowywanie mąki. Po szeregu gólników następuje „przykład". nazwisko (przekręcone) pracownika spółdzielczego, który rzekomo miał przyjąć mąkę zagrzaną i skawaloną i nakłonić w dodatku konwojentów do podpisania protokółu jej przyjęcia.

Zainteresowana instytucja nadsyła udokumentowane sprostowanie, stwierdzając nieprawdziwość zarzutów. Jak długo będziemy czekać na ukazanie się sprostowania — nie wiadomo. Na razie pozostaje wrażenie, że „coś tu nie jest w porządku". Czy nie o to właśnie chodziło?

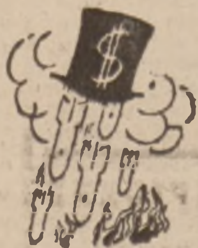
Bo ten sam dziennik zamieszcza inne jeszcze, również nieścisłe zarzuty pod adresem spółdzielni, tym razem na temat sposobu rozdziału zapałek. Wzmianka podpisana jest przez obywatela, znanego w tamtym terenie jako malkontenta i wroga spółdzielczości.

Redakcja nie waha się wydrukować wiadomości bez jej uprzedniego sprawdzenia. Natomiast waha się i zwleka długo, zanim wydrukuje sprostowanie i to z własnym komentarzem (wbrew obowiązującym przepisom prasowym).

Inny znowu dziennik zamieszcza złośliwą wzmiankę pod adresem spółdzielni „Wyzwolenie", zarzucając jej pobieranie wysokich cen za mleko. Jak się okazuje, spółdzielnia „Wyzwolenie" w ogóle mleka nie sprzedaje. Ale cóż to szkodzi? Czytelnicy odnieśli już „wrażenie", że w spółdzielczości źle się dzieje. A czy wszyscy przeczytają sprostowanie? I czy sprostowanie daje satysfakcję pokrzywdzonemu?

I w końcu: czy to są właściwe, zgodne z dobrymi obyczajami metody?

Manna w Grecji



Uchwalenie ćwierćmiliardowej pożyczki dla Grecji ożywiło wyraźnie monarchistyczny rząd tego kraju.

180-tysięczna armia rządowa rozpoczęła ofensywę przeciw armii partyzanckiej. W porcie Volos mieści się sztab tzw. północnej grupy wojsk, która prowadzi operacje przeciw partyzantom. Sztabem tym kieruje ścisły 50-cio osobowy sztab angloamerykański z generałem Grey na czele. Wojska rządowe wspomagane są przez liczne lotnictwo, artylerię górską, czołgi i flotę. Wyniki ofensywy są jednak znikome. W wielu wypadkach partyzanci zdołali wziąć inicjatywę w swoje ręce.

Tak oto amerykańska „pomoc dolarowa" dociera do Greków w postaci bomb i pocisków.

Ludzie z „ulicy śmierci"



Z obozów we Włoszech przybyło do Niemiec 12.000 jugosłowiańskich czetników i ustaszi.

Jest to różnobarwny zespół niebieskich ptaków, wśród których większość stanowią niebezpieczni przestępcy wojenni. Ich aktualnym zajęciem była „działalność" na czarnym rynku i terroryzowanie ludności włoskiej. W mieście Eboli, gdzie znajdywały się obozy tych Jugosłowian, ludność nazwała ulicę obozową „ulicą śmierci". Władze angloamerykańskie znalazły się w kłopotliwym położeniu; lecz zamiast odesłać ich do Jugosławii, przewiozły swych pupilów do obozów w Westfalii i Bawarii. Zastępca szefa Jugosłowiańskiej Misji Wojskowej w Berlinie, płk Mesud Hoticz, oświadczył w związku z tym, że zawiła trasa obrana przez anglosasów symbolizuje zawiłe cele tej eskapady.

Cele zawiłe — ale sens jasny.

Amerykańska wolność prasy



Vallay City to małe 6-tysięczne miasteczko w stanie North Dakota. Wychodził tam dziennik „Times - Record". Wstępne artykuły tej gazety często pochwalały stanowisko Henry Wallace, natomiast krytycznie oświetlały politykę Trumana.

Nie podobało się to bussinesmanom Vallay City i wystosowali do wydawcy i redaktora ultimatum: jeśli dziennik nie zmieni swego nastawienia politycznego, zostanie finansowo zrujnowany.

Wydawca „Times - Record" Matchan postanowił odwołać się do ludności miasta i urządził na łamach swej gazety plebiscyt wśród czytelników, kto jest za i kto jest przeciw dziennikowi. Wynik plebiscytu brzmiał: 5 : 1 na korzyść zwolenników gazety. Ale Matchan zna swój kraj i postanowił mimo wszystko wydawnictwo swoje sprzedać. W poszukiwaniu nabywcy dał on do tygodnika wydawniczego „Editor et Publisher" następujące ogłoszenie: „Z powodu różnicy zdań z bussinesmanami, pewien wydawca chce przejść w stan spoczynku".

„Times - Record" przestał wychodzić.

Piłat umywa ręce



Sławne widowiska pasyjne w Oberammergau w Bawarii zostaną wznowione dopiero w 1950 roku. Wśród 3 tysięcy mieszkańców Oberammergau 800 brało udział w widowiskach jako aktorzy.

Jak się okazało, 152 aktorów było członkami NSDAP, w tej liczbie 8 grających rolę apostołów. Jedynym aktorem godnym zaufania, którego amerykańskie władze w Bawarii zdenazifikowały i któremu poleciły przygotowanie wznowienia widowisk w 1950 r. okazał się stolarz, Melchior Breitsanter. Nic jednak dziwnego, że zdołał on dowieść swej niewinności.

Od lat grał on rolę Piłata.

Piłat umył ręce...

Egzotyczne kapelusze czeskie



Kapeluszem Bliskiego Wschodu jest czerwony fez. Mahometanie nie uznają innego nakrycia głowy. Jest to ich rytualna szata i narodowy strój. Na rynkach Bliskiego Wschodu ukazała się ostatnio duża ilość fezów. Komu zawdzięczają Mahometanie tę wielką podaż fezów? Prawie nikt spośród milionów wiernych w Egipcie, Arabii, Turcji nie wie, że te ich egzotyczne kapelusze są produkowane w największej na świecie fabryce fezów w ...Strakonicach w Czechosłowacji. Fabryka ta w ramach 2-letniego planu gospodarczego przekroczyła swój plan produkcyjny i zamierza jeszcze bardziej rozszerzyć swoją produkcję.

Bruning na widowni

DR HEINRICH Bruning, były kanclerz Rzeszy Niemieckiej z 1931 roku, ukazał się znów na horyzoncie niemieckim. Bardzo dyskretnie przygotowano ten powrót. Od chwili opuszczenia Niemiec Bruning zaklimatyzował się dobrze w Stanach Zjednoczonych, gdzie piastował katedrę ekonomii politycznej uniwersytetu Harvard. Wiadomo w tej chwili jedynie, że osiądzie w amerykańskiej strefie okupowanych Niemiec i że zaofiarowano mu katedrę profesorską na terenie tej strefy. Bruning był tym kanclerzem Niemiec, który przygotował grunt do zrzucenia obowiązku płacenia reparacji, który zapewnił powtórny wybór Hindenburga. Stanowisko polityczne: konserwatywny, sympatyk arsytokracji.

Obserwatorzy polityczni przypuszczają, że za powrotem Brüninga do Niemiec kryją się sekretne plany rządu amerykańskiego, dla którego Schumacher jest zbyt lewicowy i za bardzo pozostaje pod wpływem Anglików.

Jeszcze o wolności prasy

NAZAJUTRZ po przybyciu i objęciu urzędowania przez nowego gubernatora Cypru Lorda Winstera pierwszy dziennik miejscowy „Kypriakos Phylax" ukazał się z wielką białą plamą na pierwszej stronie. Tylko nagłówek wiadomości nie został skonfiskowany: Brzmiał: „Przyjazd urzędników".

Za białą plamą gazety kryły się opustoszałe ulice, które witały nowego gubernatora. Tylko kilku miejscowych notablów spośród mniejszości tureckiej witało czcigodnego lorda, a greccy członkowie rady doradczej nie raczyli nawet przybyć na uroczystość zaprzysiężenia. Gubernator natychmiast zrezygnował z ich usług.

Mały ale wymowny przykład, jak rozumiana jest wolność prasy poza granicami metropolii i jak wygląda „wdzięczność" Greków za pomoc okazywaną rządowi Tsaldarisa.

Dyrektorzy siedzą, a koncern stoi...



Dyrektorzy I. G. Farben: generalny — Karl Krauch, handlowy — Georg von Schnitzler, techniczny — Hermann Schmitz

W Norymberdze toczy się proces 24 b. dyrektorów IG - Farbenindustrie. Akt oskarżenia zarzuca im udział w przygotowaniu i kierowaniu wojny napastniczej, dokonanie zbrodni wojennych oraz zbrodni przeciw ludzkości.

W procesie tym chodzi o ustalenie indywidualnej winy oddzielnych oskarżonych. Wyrok na koncern jako taki został wydany jeszcze w końcu 1945 roku, przez uchwałę Sojuszniczej Rady Kontroli o rozwiązaniu IG - Farbenindustrie.

Ale widocznie, z woli wyższej, ale bynajmniej nie boskiej, skazanemu na śmierć koncernowi sądzony był długotrwały żywot. Jak donosi agencja, France Presse, wyroby IG - Farbenindustrie — w rok po uchwale o rozwiązaniu koncernu ukazały się na rynkach W. Brytanii. Angielskie firmy handlowe otrzymują w ostatnim czasie z Niemiec oferty na dostarczanie chemikalii z marką „IG - Farben - Fabrikate".

Ze strony brytyjskich kół oficjalnych potwierdzono nawet dalszą działalność koncernu, uzasadniając to tym, że współpraca zakładów koncernu jest nieodzowna i rozczłonkowanie ich lub wyodrębnienie choć jednej fabryki z całości doprowadziłoby do poważnych konsekwencji".

Redaktor finansowy „Daily Express" w artykule z 19 maja br., stwierdza, że faktycznie oferowane chemikalia niemieckie mają markę „IG - Farben". „Ale brytyjski urząd skarbowy" — wywodzi on dalej — „nie sprzeciwia się bynajmniej temu, gdyż chce on w ten sposób zaoszczędzić wydatki brytyjskie na utrzymanie strefy, które sięgają 120 mil. funtów".

Tak więc dyrektorów koncernu sądzą, zaś koncern działa.

Widocznie hitlerowscy dyrektorzy do niczego już służyć nie mogą, zaś z hitlerowskiego koncernu płynie miły dymek...



WELLINGTON, w kwietniu

Kiedy dwa lata temu jechałem do Nowej Zelandii, nie mogłem nic konkretniejszego powiedzieć ani o samej wyspie, ani o jej mieszkańcach. Kraj ten był dla mnie jedynie zieloną plamą na samym dole mapy świata. Nowa Zelandia była dla mnie po prostu wyspą nieznaną, trochę tajemniczą, o której w jakiejś tam powieści pisał kiedyś Juliusz Verne.

Myślę, że przedstawia się ona podobnie wielu czytelnikom tego artykułu. Książki, które kiedyś czytałem o tym kraju, wzbudzały we mnie jedynie głód egzotyki, nigdy całkowicie nie zaspokoiły głodu wiedzy. A jaka wydała mi się ta wyspa, gdy znalazłem się tutaj pierwszy raz?

Muszę przyznać, że odległość jej od Europy działa na nas jak hypnoza. Stąd każde pierwsze wrażenie jest nieczyste, zaciera się i zawsze będzie zabarwione odczuciem egzotyki. Podobnie było ze mną. Już sam napis „New Zealand"— na naramiennikach żołnierzy, jadących tym samym okrętem, działał na mnie w ten sposób, że nie pozwalał spokojnie obserwować skośnego lotu latających ryb, mieszkańców mórz zwrotnikowych, a zmuszał do rozmowy z żołnierzami.

W czasie tych rozmów przeżywałem swoje pierwsze zdziwienia.

*

Do brzegów Nowej Zelandii, pamiętam, dopłynęliśmy w ostatni październikowy poranek. Jest to czas wiosny na tej półkuli i Morze Tasmańskie, oblewające wyspę od zachodu, bywa zawsze o tej porze burzliwe. Myśmy jednak mieli wyjątkową pogodę. Toteż pokład okrętu zaroił się od pasażerów. Chłód poranka szczypał mocno, ale fala przechodziła nisko i bryzgi wody nie dosięgały burt okrętu. Znajdowaliśmy się na historycznej trasie pierwszego angielskiego odkrywcy wysp, kapitana Cooka, i wpłynęliśmy niezadługo w cieśninę Cooka, wygładzoną już jak lustro, spokojną i turkusową w świetle południa, z lekkimi mgłami w stronę lądu.

Okręt zakotwiczono wśród morza i kapitan poprosił o pilota. Niebawem nadpłynął mały statek i wymanewrował nasz okręt między polami minowymi, wprowadzając nas do portu.

Ląd powoli zbliżał się ku nam, wabiąc przybyszów z dalekiego świata, spokojem i łagodnym zarysem pofałdowań.

Nowa Zelandia wydawała mi się wtedy wyspą, stworzoną dla sielanki. Pasterska zieleń pagórków i z rzadka rozsiane kępy drzew. Obcokrajowiec przyjął ten krajobraz z ulgą, obiecując sobie dobry wypoczynek, z dala od huku wojny.

Nowozelandczycy witali ląd inaczej, niż my. Wszyscy byli zresztą w mundurach, wracali z walk, co niewątpliwie pogłębiało ich wzruszenie, wracali bowiem do kraju i do rodzin z zakrwionej Europy, Azji czy Afryki. Starsi z nich byli bardziej opanowani. Młodzi nie ukrywali wzruszenia.

— Did you see, there is south island!*)

Jak spłoszone mewy masztów, czepiały się lin okrętów ich nabrzmiałe wzruszeniem okrzyki.

— Are you very happy? **) — rzuciłem spłoszone słowa wraz ze spojrzeniem w stronę najbliżej stojącego sąsiada.

— O yes, it is my country, my home! I didn't see it very long time! ***)

*) Czy pan widział, tam jest wyspa południowa!

**) Pan jest bardzo szczęśliwy?

***) O tak, to jest mój kraj, mój dom! Nie widziałem go bardzo długo.

Po tych słowach poczułem się bardzo obco obok tego młodego chłopca, który, ujrzawszy ów obcy dla mnie ląd, cieszył się podobnie, jak gdybym ja cieszył się, wjeżdżając do portu Gdyni lub Gdańska.

Sąsiad mój nie zauważył tego, bo za małą chwilę opowiadał mi z ożywieniem o swym kraju.

Kocha go, tu się urodził. Nie czuje się Anglikiem.

— I am New Zealender*) — stwierdził z pewną dozą chełpliwości. Nowa Zelandia jest najpiękniejszym krajem na świecie. I wierzył w to. A znał swój kraj na pamięć.

*) Jestem Nowozelandczykiem.

Objaśnił mnie, że składa się on z 3-ch wysp: północnej i południowej, dość dużych i trzeciej małej wysepki, leżącej najbliżej bieguna południowego, wyspy Steward.

Wszystkie trzy leżą między 30-tym a 48-ym równoleżnikiem szerokości południowej, uszeregowane niemal w pionowym rzucie ku północy.

Słuchając tych wywodów, uzmysłowiłem sobie, że jest to kraj najdalej na wschód położony od Polski, o całe 180° odległy w stronę wschodu, czyli właściwie miejsce wschodu słońca.

W tym samym czasie, gdy nad stolicą tego kraju, Wellingtonem, słońce wschodzi, w Warszawie jeszcze jest dzień wczorajszy, jest jego wieczór. Rozpoczyna się noc, która tu już minęła. Gdy w Warszawie stacja radiowa nadaje swoje, powiedzmy, czwartkowe wieczorne audycje, w Nowej Zelandii słuchać ich można w piątek rano. Działa tu magia czasu, kosmiczny czwarty wymiar nie do uzmysłowienia, czasoprzestrzeń. Ta sama chwila czasu bieżąca, a o 12 godzin w Polsce spóźniona. Nowa Zelandia jest starsza od Polski o całe 12 godzin.

Mój rozmówca atakował mnie dalej liczbami. Obliczał powierzchnię wszystkich wysp, wymieniał liczbę mieszkańców. Zorientował się, że w stosunku do powierzchni Polski Nowa Zelandia jest tylko nieco mniejsza. A iluż liczy mieszkańców?

I tu przeżyłem następne moje zdziwienie. Niewiele ponad półtora miliona. Ta liczba mnie przeraziła. Czy nie przerazi i was ta wizja pustki? Weźcie ludność przedwojennej Warszawy i rozproszcie ją na terenach całej Polski, a będziecie mieli obraz zagęszczenia ludności na wyspach Nowej Zelandii.

— Czy dużo jest Maorysów?

Rozmówca mój pierwszy raz czuje się niepewnie i określa ich liczbę między 80-ma a 100 tysiącami. Wyspa więc należy do białych. Kiedyś Maorysi, najzdolniejszy lud rasy polinezyjskiej, byli jedynymi gospodarzami tego kraju. Obecnie być może są na wymarciu.

*

Do portu weszliśmy w południe. Naokoło dużej zatoki, na wzgórzach, tonących w soczystej zieleni drzew rozkwitały raz po raz jak maki czerwone plamy domów. Tarasami nad zatoką wspina się Wellington, stolica tego kraju i siedziba jego władz centralnych.

Miasto niespełna 180-tysięczne. Piękny port, związany liniami okrętowymi ze wszystkimi punktami świata. Mimo to cisza. I wszystko naokoło wydało się naraz nierealne. Doznałem wrażenia, jak gdybym stanął przed dobrze zrobionym obrazem olejnym. Pierwszy raz wśród huku wojny odczułem spokój jako coś nierealnego, coś obcego i w głębi swej kryjącego coś na kształt księżycowej martwoty.

Tymczasem z masztu naszego okrętu wybiegły świetlne iskierki. Pracowite ręce marynarza przekazywały gdzieś w głąb portu świetlne znaki. Podążyłem za nimi wzrokiem: z oddali migały podobne iskierki. Jakiś inny okręt rozmawiał z naszym. Za chwilę głos z kapitańskiej kabiny wyskandował z cudzoziemskim akcentem: „Polski okręt wita polskich pasażerów w stolicy Nowej Zelandii". Nie spodziewałem się takiego powitania. Polacy! Gdzie ich nie posiało!

Okazało się później, że to polski okręt handlowy od kilku dni przebywał w porcie, czekając na naprawę i ładunek. Miał zawieźć stąd ładunek mięsa lub masła na linię frontu.

Nowa Zelandia jest bowiem przede wszystkim krajem rolniczym i krajem przemysłu spożywczego. Niezmordowanie od pierwszego dnia wojny wysyłała walczącym wojskom alianckim swoje wysokokaloryczne produkty spożywcze — źródło męstwa bohaterów pól bitewnych.

Tadeusz Schiele



Owce — bogactwo Nowej Zelandii

WSZYSCY JESTEŚMY CZŁONKAMI O. N. Z.

— Oświadcza Dyrektor Wydziału Zagranicznego Departamentu Informacji Narodów Zjednoczonych

W ostatnich dniach sfinalizowane zostały rozmowy dotyczące zorganizowania w Polsce Centrum Informacyjnego Narodów Zjednoczonych. Rozmowy te przeprowadził dyr. Wydziału Zagranicznego Departamentu Informacji Narodów Zjednoczonych, red. Jerzy Szapiro.

Redaktor Jerzy Szapiro należy do polskiego świata dziennikarskiego. Przed wojną członek redakcji „Robotnika" i korespondent zagraniczny pism polskich, obecnie pełni wysoką misję w międzynarodowej organizacji narodów. Redakcja „Tygodnia" zwróciła się do red. Szapiro z prośbą o oświetlenie znaczenia służby informacyjnej O.N.Z.

— Opinia publiczna — zagaja red. Szapiro — informowana jest zbyt mało i zbyt jednostronnie o pracach O.N.Z. Zazwyczaj wygląda to w ten sposób, iż z okazji różnych sporów prasa — zwłaszcza amerykańska — rozdmuchuje sprawy o charakterze sensacyjnym, pomijając całkowicie codzienną działalność O.N.Z., mającą niemniejsze znaczenie dla pokoju i wolności świata. Stąd przeciętny obywatel wyrobił sobie błędne pojęcie o roli O.N.Z., przyrównując ją do dawnej Ligi Narodów z jej piękną gadaniną, procedurą papierkową, dyplomatyczną chińszczyzną i indolencją. Tymczasem oprócz sporów międzynarodowych oraz spraw, interesujących bezpośrednio dyplomatów, O. N. Z. rozstrzyga i opracowuje szereg zagadnień dotyczących każdej jednostki na globie ziemskim.

— Czy może pan zacytować jakieś przykłady?

— Na przykład: obrady Komisji Gospodarczej, będącej niejako przedłużeniem UNRRA. O ile jednak UNRRA zajmowała się doraźną pomocą dla ludności krajów dotkniętych wojną, to zadaniem Komisji Gospodarczej będzie współpraca w odbudowie zniszczonych przez wojnę krajów. Inny przykład: Komisja Lekarska opracowała sposoby usprawnienia produkcji i rozprowadzenia penicyliny, sulfamidów, oraz międzynarodowego zwalczania gruźlicy. W opracowaniu zasad gospodarczego współdziałania krajów Europy zresztą świata całego biorą udział oprócz rządów również i wielkie międzynarodowe organizacje społeczne, jak Światowa Federacja Związków Zawodowych, Międzynarodowy Związek Spółdzielczy i inne.

— W jaki sposób na przykład Międzynarodowy Związek Spółdzielczy współpracuje z O.N.Z.?

— Wskazać tu muszę na nowe formy prac międzynarodowych, jakie wytworzyły się w praktyce i ustroju O.N.Z. Jak wiadomo, obok Rady Bezpieczeństwa główne prace O.N.Z. ogniskują się w Radzie Gospodarczej i Społecznej. Otóż statut Rady Gospodarczej przewiduje współpracę z międzynarodowymi organizacjami społecznymi, jak Światowa Federacja Związków Zawodowych, Międzynarodowy Związek Spółdzielczy i Światowy Związek Izb Przemysłowo-Handlowych. Organizacje te przysyłają na posiedzenia Rady swoich obserwatorów z prawem głosu doradczego. Wszelkie tedy sprawy, wchodzące w zakres zagadnień gospodarczych i społecznych, poddawane są konsultacji ludzi, tkwiących w samym nurcie tych zagadnień.

— Czy mógłby Pan powiedzieć coś o toczących się obecnie pracach w dziedzinie gospodarczej?

— Odpowiadając na to pytanie chcę się zwrócić do ludzi, którzy przyswoili sobie łatwe frazesy krytyczne w stosunku do O.N.Z. To podejście, oparte na niewierze w skuteczność współpracy narodów, jest łatwe — z uwagi właśnie na trudności tej współpracy. Jest to jednakże ustosunkowanie się niezmiernie szkodliwe. Bo wysiłki O.N.Z. nie opierają się wyłącznie na pracach dyplomatów, ale powinny zapewnić sobie współdziałanie wszelkiego aktywu społecznego krajów europejskich i innych. Weźmy chociażby sprawę o pierwszorzędnym znaczeniu — sprawę globalnego opracowania kwestii zatrudnienia. Chciałbym się jaśniej wyrazić. O.N.Z. przewiduje współpracę i pomoc wzajemną nie tylko w zakresie kapitałowym i materiałowym, ale również i ludzkim. Przewiduje się wymianę fachowców oraz pomoc w szkoleniu kadr fachowych — w zależności od potrzeb poszczególnych krajów. Zasadnicze opracowanie problemu zatrudnienia w skali światowej znajduje się w rękach znanego specjalisty polskiego, dr Kaleckiego, należącego do kierowniczych mózgów Departamentu Gospodarczego O.N.Z. Dr Kalecki dobrał sobie grono współpracowników spośród specjalistów najwyższej klasy całego świata. Sworzył wraz z nimi rodzaj seminarium, które opracowuje bieżące vademecum dla działaczy gospodarczych wszystkich krajów, rodzaj podręcznika tworzonego codziennie, obejmującego horyzonty światowe. Prace komórki badawczej dr Kaleckiego pozwolą wyjść organizacjom gospodarczym poszczególnych krajów z ich partykularnego podwórka i spotkać się na szerokim światowym gościńcu, gdzie krzyżują i biegną obok siebie interesy gospodarcze wszystkich krajów i narodów.

— Z tego widać, że O.N.Z. rzeczywiście daleko wybiega poza dyplomatyczne paragrafy i klauzule?

— Tak. Bo koncepcja O.N.Z. polega na tym, że jej członkiem jest każdy żyjący człowiek. Każdy bowiem obywatel ziemi ma w pracach O.N.Z. zainteresowania własne, dotyczące swego bytu i bytu rodziny. A więc rozdział lekarstw i innych medykamentów przeprowadzany przez Międzynarodową Organizację Zdrowia. A więc — współpraca międzynarodowa w zakresie opracowania i wymiany podręczników, oraz innych pomocy szkolnych. Wchodzi to w zakres prac oświatowych O.N.Z. A więc — Międzynarodowa Organizacja Handlu i wymiany towarowej wszelkiego rodzaju. A więc — pomoc wzajemna w dziedzinie podniesienia przemysłu, pomoc siewna, narzędziowa, kredyty międzynarodowe, usprawnienie komunikacji międzynarodowej, zwłaszcza lotniczej. Wszystko to są sprawy dotyczące codziennego życia ludzi. A dalej takie kwestie jak ustawodawstwo i świadczenia socjalne, wreszcie — wolność informacji, słowa, prawa kobiet i inne kwestie najbardziej żywotne dla życia narodów i jednostek. Kapitalnym natomiast momentem z punktu widzenia każdego obywatela naszej ziemi, jest sam fakt ustanowienia współpracy międzynarodowej, będącej w swojej treści p o k o j e m. A więc realizacja najbardziej upragnionego przez wszystkich ludzi bez względu na ich narodowość, czy język, którym mówią.

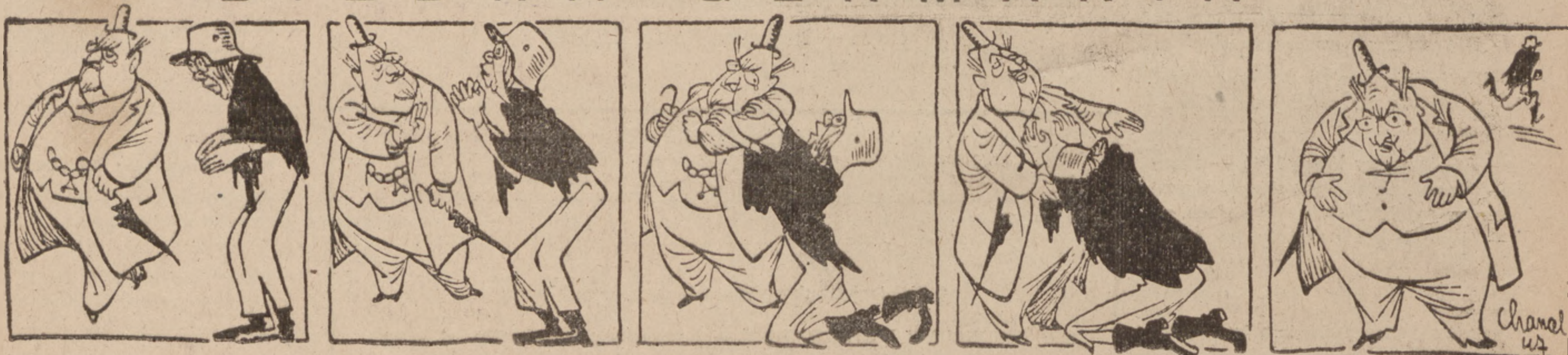
Rozmowę przeprowadził
MAREK SADZEWICZ

MUSIMY ODBUDOWAĆ ŚWIAT



Niech na Zachodzie nie zapominają nie tylko o naszych krzywdach, ale i o własnych. Oto obraz londyńskiej katedry św. Pawła, zniszczonej przez niemieckie bomby. Należy ze współ życia narodów wykluczyć te metody, które doprowadzają do dewastacji najwspanialszych pomników kultury.

B I E D N A   G E R M A N I A



— Panie, panie!

— Wybacz mi!

— Oh, wybacz mi!

— Podnieś się, pani, postaram się zapomnieć o twoich winach

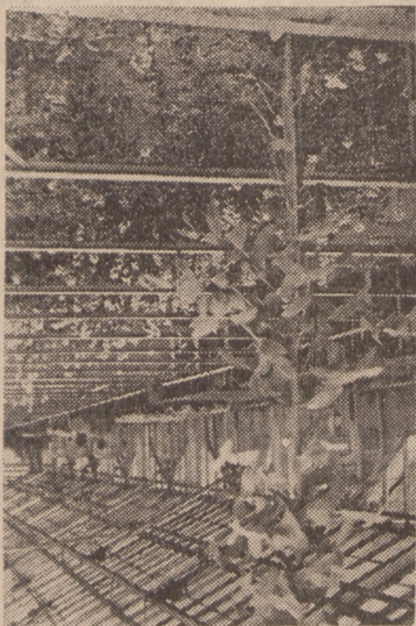
— Oh, mój zegarek...

(„Carrefour" — Paryż).

LATO W WARSZAWIE

Film TYGODNIA

ŚWIĘTY PROFESOR



Fot. Film Polski

Na miejskich plantacjach zakwitają flance przygotowane do ozdobienia trawników i zieleńców Stolicy.



Fot. Film Polski

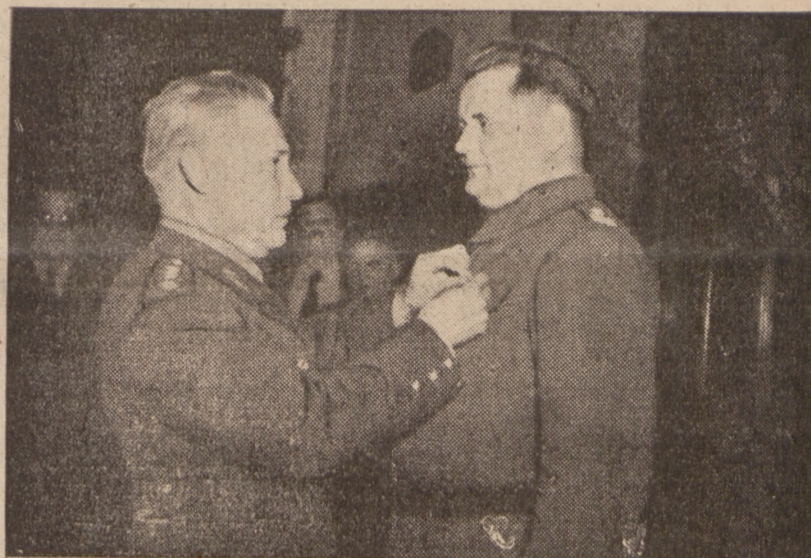
Po wielu trudach obalono wreszcie żelbetonową wieżę Dworca Głównego w Warszawie



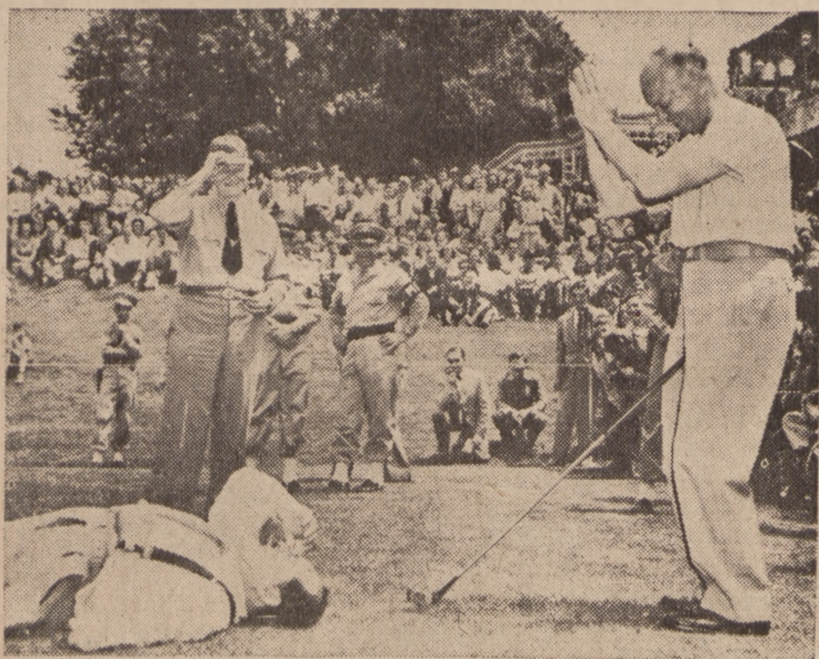
Contardo Ferrini, profesor na uniwersytecie w Mediolanie, został beatyfikowany, a jego portret zdobi kaplicę uniwersytecką.



Trudności Francji: strajkujący robotnicy fabryki „Renault", demonstrują, żądając uwzględnienia swych postulatów.



Meksykański minister Obrony Narodowej Generał Heriberto Zimon dekoruje ppłk. Józefa Klonowskiego orderem amerykańskim „Merito militar" za zasługi na polu zbliżenia Armii Amerykańskiej z Wojskiem Polskim.



Gen. Eisenhower bawi się: ot wygrał partię golfa z aktorem amerykańskim Edwardem Arnoldem, który na znak klęski położył się na ziemi.

EUGENIUSZ CĘKALSKI

My z »GARLANDA«

OBRAZ Z BOJÓW POLSKIEGO OKRĘTU WOJENNEGO

(Paweł Grudka, operator filmowy Kierownictwa Marynarki Wojennej, został ciężko ranny w czasie nakręcania filmu na pokładzie „Garlandu" w konwoju do Rosji w maju 1942 roku).

Na morzu

Bo to było tak. Jechali my pełnym gazem, kiedy widzę, że na konwój maszyny lecą i bomby rzucają. Wszedłem na reflektor — dobre miejsce, żeby na wszystkie strony zdejmować — blacha tam gruba taka w koło mnie do pasa — a tu się z karabinem maszynowym kolega ustawia.

Mówię do niego — idź stąd Józef (kolega on był jeszcze z „Błyskawicy"), zabierz tę pukawkę — a on poczciwy nic nie gada — przeniósł się. Z drugiej zaraz strony była siedemdziesiątka piątka, przeciwlotnicza. Szykuję się do zdjęć, a tu taka mgła od przeciwnej strony okrętu idzie — taka sobie mgła, może sto metrów szeroka — taki pas. Wyszli my z tej mgły, tak, że teraz mgła między nami a konwojem. Ledwie my wyszli, a tu patrzę — maszyny na nas suną.

Jedna, druga, trzy, pięć — niziutko, prosto na mnie — ledwie ja krzyknął „atakują nas", a tu jak nie łupnie seria raz po raz, aż mnie na reflektor wetkało — klatkę piersiową mnie do środka wgniotło — i odłamki ci lecą jak cholera i czuję, że we mnie jak w sito — w głowę, w rękę, w bok, i nic nie boli tylko w tym delikatnym miejscu, co pan wie. Tylko pierwsze myśię, że światłomierz zepsuty, co wisiał na piersi, chcę go wziąć, rękę z aparatem podnoszę — patrzę a tu krew wszędzie — krew na twarzy — z czoła leci — krew na piersi czuję — mokro wszędzie, od wybuchu z por wylazła.

Grzmocą ciągle i nasi strzelają, patrzę ja w bok a tu po pokładzie krew płynie — tu ręka leży — tam głowa, gnaty jakieś, masakra. Chcę ja światłomierz wymacać, ale mi ręka nie idzie — nagle się sama w drugą stronę odchyla — patrzę ja z łokcia krew bucha, kości gołe sterczą. Wychylił ja się do tyłu — czuję, że już nie ustoję — chcę jeszcze filmować, bo maszyna na nas idzie, maszynę tę w wirze prowadzę, krew mi oczy zasłania — maszyna buch do wody — zestrzelili sukinsyna — ale już nie mogę. Patrzę gdzie aparat rzucić — patrzę za siebie, kable tam takie gumowe grube leżeli — co elektrykę z brzegu na okręt dają — wypuścił ja delikatnie aparat na te kable i sam stać nie mogę — krew się leje wszędzie — z ust, z nosa, z uszu.

Przewracam się.

Leżę ja, a tu jakiś do mnie skacze — toniemy woła i korek mi na głowę przez tę dziurawą rękę pcha. Pasa ja na sobie nie miał — wisiał obok, przestrzelili go, powietrze uciekło, ja się z tym korkiem na szyi gramolę — patrzę co jest — para leci, bo kanał przecięto.

Wszędzie krew

Idź ty głupi, paniki nie rób, do niego wołam, bo okręt prosto idzie, nie toniem tylko para uciekła. I zaczynam już pomalutku iść do rufy — dopiero wtedy zobaczyłem — iść ślisko, bo krew wszędzie i gnaty — tu głowa, tam flaki — dwie obsługi działa wybite — jednemu obie nogi oberwało — jedna jeszcze wisi — dwadzieścia minut żył, ale jeszcze przed śmiercią raz strzelił.

Posuwam się dalej, aż tu patrzę kolega serdeczny leży — Władek. Z nim przed samym nalotem w karty grałem, siedemnaście szylingów byłem winien. Niemcy grę przerwali. Nie zdążyłem mu oddać, teraz on tu, trup, gęba krzywa. Pochylam się nad nim — moja krew na niego kapie — poznaję go, strasznie mi się zrobiło — myślę sobie te siedemnaście szylingów dam na cel — już ja sobie taki specjalny cel umyślił.

Idę teraz na rufę — pod hydrostatyczne bomby — tam już dużo takich, jak ja leży. Lepiej tam, bo jak trafi, bomby pójdą, ani się obejrzym, w kawałki rozerwie; w wodzie się męczyć trzeba. Więc pod tymi bombami ja się położył — bo już nie mogę. Krew mi jedno oko zalała — leżę ja, zimno. Co oko prawe otworzę — w jedną stronę patrzę — leżą koło mnie strasznie pocharatane cielska, krew leci, widok opisać trudno.

Umarł Maciek

Patrzę ja, jeden pół boku ma rozerwane, leży i nic nie stęka, tylko śpiewa — a on — „Umarł Maciek, umarł i leży na desce — jakby mu zagrali zatańczyłby jeszcze" — i znowu — „umarł Maciek u..." i tak jakoś zaburczał Uuu... i patrzę na niego, nie żyje.

W drugą stronę patrzę na morze. Niemiec statki atakuje — że tego zdjąć nie można — widzę, jak jednego handlowca trafił całą serią. Amunicja musiała być — błysnęło i dym poszedł i prawie w pięć sekund statek w wodzie. Przychodzi do mnie porucznik — nic mu nie było, a dobrze, bo już chłop swoją ranę w 1920 miał, pół tyłka ma wyrwane; podchodzi do mnie porucznik, poznał, mało nie zapłacze. Pawełku, woła, synku mój, nie umieraj — i cofa się, tak się zląkł.

A ja do niego — Panie (nawet już „poruczniku" nie powiedziałem) — chodź Pan, pomóc. A on — co Ci pomóc — woła — wszystko Ci przyniosę, co chcesz. Więc ja — kielicha — powiadam i taka chętka mnie na wiski zebrała, że aż... Przyszedł, przyniósł, pełna szklanka wiski, piję — gorąc po mnie idzie, dobrze się robi, ani nic nie boli.

Pół szklanki wypiłem — chcę więcej, ale myślę sobie — wypiję wszystko to się zaleję, jeszcze głupstw narobię — rękę tę sobie oberwę, albo co. Skakać zacznę i po pjanemu będę chciał aparat szukać i kręcić. Więcem się wstrzymał i tak w tej lewej ręce szklankę trzymam — patrzę szkoda mi — innym bym dał, ale nie mogę, wiski z krwią zmieszana, bo mi z gęby ciekło — więc jak się nie zamachnę i ryms tę szkiankę o żelazne łańcuchy i szkło w kawałki poszło.

Lekarz był anioł, nie człowiek. Jak on w tym wszystkim głowy nie stracił, latał w tę i w tę — tylko nogi i ręce, gdzie trzeba obcinał. Przychodzi do mnie — a pan Grudka — powiada — co panu — ja tylko przez zęby — rękę powiadam (ledwie mówić mogłem) więc mnie wziął do messy — tam pod stołem krew, nogi, ręce obcięte.

Położyli mnie na stole, mundur porozcinali, sanitariusz mi gazę na nos pcha, chloroformem kapie. Ale sam był ranny sanitariusz, ręka mu się trzęsie, w tę i w tę, zamiast na nos, na oczy i do ust mi leje. Łamago, do niego wołam, co robisz — nalało mi się do oka, do ust, piecze, jak cholera. A co gorsza wódka swoje robi — ani rusz nie chcę usnąć, tylko mi tak wesoło, że aż śpiewam. Słyszę: inni się śmieją ze mnie — aż mnie złość zebrała — tu bomby lecą — trupy i śmierć wszędzie, a oni śmiać się chcą. Brzydko wszystkich zrugałem — a tu się głos odzywa — A, to Grudka, no jak wam się zdjęcia udały?

Kapitan M. to był, leżał z poszarpaną nogą, na operację czekał. A to i pan kapitan tutaj — powiadam — zdjęcia w porządku, najważniejsze, że pana kapitana mam na zdjęciu. Bo go rzeczywiście poprzedniego dnia na Leicę złapałem, jak jabłko jadł, nic nie wiedział. Sam ten moment, jak gęba otwarta i jabłko wsuwa.

Ale doktór do mnie: — No co panie Grudka — ranni czekają, a pan pod chloroformem mi nie zasypia. Co mam robić? Pan co trzeba — mówię — ale jakoś mi się słabiej robi i zasypiam. Kość mi sterczącą obłamał, co trzeba zrobił. Wzięli mnie na pomieszczenie. Ale okręt cały dziurawy.

Wszędzie te odłamki — szły — i gdzie doleci znowu wybucha — nowe jakieś bomby czy co — nad wodą jeszcze wybuchły — bo wcale pokładu wodą nie zalało. Przyszedł chirurg Anglik, bo nam doktór na pomoc zawołał — przykład z drugiego okrętu — na pokład wchodzi, patrzy, krew, gnaty, trupy — zemdlał.

Ocucili go, wzięli do messy, żeby w amputacjach pomagał.

Wszedł — patrzy kadłub na stole, znów mięsa kawały, rzeźnia, bo nie było czasu sprzątać — znowu zemdlał — tylko potem co mniej rannych opatrywał.

Obrona jest fest

Ale obrona jest fest — gdzie przy dziale pozabijani — zaraz inni przyszli, trupy wyrzucili, rannych odsunęli, sami dalej do Niemców strzelać. Atak trwał cztery godziny. Potem to już spokojniej było tylko stukasy nas męczyli. U nas dziur było ze dwieście — do niektórych pomieszczeń woda się dostała, ale „Garland" nie zatonął. Kotkę my mieli taką i małe cztery kociaki miała. Postawili dla niej pudełko blaszane — nałożyli szmat, piasku. Kociaki były dwa bure, dwa szare — po trzy tygodnie stare, jak się nalot zaczął.

Woda się tam dostała — pudełko pływać zaczęło. Wchodzą koledzy do pomieszczenia, a tu patrzą pudełko pływa, a kotka nic, tylko cały czas pudełkiem balansuje, żeby się nie zatopiło.

Jak pudełko zabrali — kotka małe w zębach pod piec zaniosła, bo mokre były. Bawił ja się z nimi potem na łóżku. Żyją kociaki, tylko jednego potem gdzieś w przejściu rozdeptali.

W Murmańsku

Przyjechali my do Murmańska, wzięli nas do szpitala. W tym Murmasku, to się już niektórym nerwy całkiem zepsuły, 6 nalotów w dzień, 4 w nocy, bomby walą i szpital się trzęsie. Trzeba było widzieć, jak te kadłuby bez rąk i nóg z łóżek się zwlekali — jak po schodach pędzili na złamanie karku — jak bomby gwizdały. Chłopak tam jeden był Amerykan, 16-letni — bez rąk, bez nóg. Trzy tygodnie w lifeobacie na Północy pływał, odmroził sobie, aż go bolszewicy wyłowili. Chirurg był w szpitalu — pułkownik ten ani na chwilę pracować nie przestał — kraje nogi, ręce, brzuchy — Rosjan, naszych, Anglików, Amerykan. Co się zmęczy, to na chwilę na korytarz wyjdzie — tam już taki stał, co miał dla niego papierosa zapalonego — dał mu raz — dwa pociągnąć i znowu doktór krajać idzie — ręce całe we krwi. A tu bomby lecą.

A ja tu jednego dnia patrzę — ręka mi się czarna robi i puchnie — gorączka 40,6 — trzy dni tak było — aż ten pułkownik przychodzi, patrzy: — Niedobrze powiada, rękę trzeba w łokciu obciąć. Biorą mnie na stół — w nocy to było — nalot właśnie i hotel, gdzie nasz doktór stał, trafiło, więc w kalesonach do szpitala przyleciał, żeby się przespać. Przychodzi, a tu mu powiadają, że Grudkę będą amputować. Idzie na salę — powiada Moskalowi (a dobrze się po rosyjsku nauczył) nie obcinaj pan, spróbuj co ja radzę — kość odsunąć, ranę rozerwać, niech ropa spłynie. Narkozy mi dać nie mogą, gorączka taka, tobym nie wytrzymał — więc Moskal tylko się spojrzał, kazał siostrze za głowę mnie trzymać, noża wziął i rozcina.

Ślepia, jak mi z głowy wylazły, jakem się zerwał, siostra aż na szafę odleciała. Ładna była dziewczyna, przeprosiłem ją. na drugi dzień, na imię Tamara. I powiadam: —

(Dokończenie na str. 11)

Marian Piechal

O ROZMAITYCH TYPACH GŁUPCÓW

Ilustr. Ignacy Witz

CHARAKTERY UMYSŁÓW LUDZKICH

Zagadnienie rozumu i głupoty ludzkiej było od zarania dziejów wdzięcznym tematem dla dociekliwości najtęższych umysłów świata. Rozum ludzki objęła w pacht filozofia. Natomiast głupotą ludzką zajmowano się mało, sądząc widocznie, że jest to zjawisko równie powszechne, jak znane. Tymczasem głupota należy do tego rodzaju zjawisk, które im bardziej są powszechne, tym mniej są znane.

W Polsce pierwszy głupotą ludzką zajął się przed stu zgórą laty Michał Wiszniewski, uczony polski, autor wielotomowej „Historii literatury polskiej", w głównym dziele swego życia, którego drugie wydanie „przejrzane i pomnożone" ukazało się w roku 1842 w Krakowie p. t. „Charaktery rozumów ludzkich". Autor na wstępie swego niezwykłego do dziś nawet ze względu na temat i sposób jego opracowania dzieła, daje ogólną definicję głupoty, a w rozdziale I-szym przechodzi do opisu głupstwa i rozmaitych jego odcieni. Ale najciekawsze i najbardziej rewelacyjne są rozdziały, w których określa poszczególne rodzaje głupoty i ich przedstawicieli.

NAJPOPULARNIEJSZE TYPY GŁUPCÓW

Nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka charakterystyk najpopularniejszych typów głupców w Polsce. Spotykamy ich codziennie wokół siebie. Potwierdzają oni naocznie najtrwalszą cechę głupoty: nieśmiertelność! Jej niezmienność, jej trwałość i niewzruszoność jest przerażająca. Giną pod wodą Atlantydy, rozsypują się w proch Kartaginy, piramidy egipskie i labirynty króla Minosa, a głupota trwa wiecznie ta sama. Oto galeria jej reprezentantów w ujęciu Michała Wiszniewskiego:

GŁUPIEC SPRZECIWIAJĄCY SIĘ:



W zakątkach i tajnikach głupstwa swojego, ma gdzieś niewyczerpany zapas wątpliwości i zarzutów, z któremi na wszelką oczywistość się targa. Lubo nie zna tajemnic dialektyki, wszelako jego rozmowa jest ciągłym dialektycznym szermierstwem. Sądząc po tej jego skłonności wnosićby można, iżby był sceptykiem, gdyby miał rozum; słabość tej władzy umysłu sprawuje, iż wszelkie z nim spory, dla światłych uciążliwe, nigdy go naprostować i oświecić nie mogą.

GŁUPIEC PRZEUCZONY:

Co innym głupcom sama natura dała, tego on długim mozołem i żelazną dorobił się pracą. Rzuciwszy przez pychę bity gościniec, manowcami w zawód naukowy się puścił. Już oddawna pracuje nad demonologią, chiromancją i kapnomancją. Biegły też jest niepospolicie w magii, astrologii i alchemii. Z książką Michała Sędziwoja w ręku pracuje nad robotą kamienia filozoficznego i już raz o mało co srebra kawał nie zamienił na złoto. Chciwie czyta kabałę. W metafizyce ważne bardzo zrobić mu się udało odkrycie; wynalazł bowiem, gdzie jest siedlisko duszy. Styl ciemny, zagadkowe wyrażenia, wszystko, co nosi barwę tajemnicy, co pod zakrytościami się okazuje, czego zwłaszcza zrozumieć niepodobna, za głęboką u siebie poczytuje mądrość. Taki rozbrat z rozsądkiem, długą samotnością w sobie utwierdził.

Trudno być uczeńszym od niego, a jednak każdy go głupcem nazywa.

GŁUPIEC DOWCIPKUJĄCY:



Jeżeli człowiek dowcipny bawi nas i rozśmiesza, nie masz ckliwszego, jak dowcip udawany. Głupiec zapowiada z góry, że ma rzecz osobliwszą i nader pocieszną do powiedzenia i zaraz sam tak serdecznie się śmieje, iż zacząć nie może. Kilka słów powiedzianych znowu śmiechem przerywa. Namordowawszy się napróżno, choć wiele przydał, lub niemal wszystko zmyślił, wszelako ze smutkiem i podziwieniem widzi, iż prócz niego nikt się nie śmieje; bo opuścił tę okoliczność, w której śmieszność się kryła. Obecni tłumią w sobie uśmiech, który nie powieść, lecz próżne jego silenie się wzniecilo.

GŁUPIEC PŁACZLIWY:



Ten innych wielkim o sobie rozumieniem przechodzi; stąd zawsze ma się za skrzywdzonego. W ciągłych dla siebie uwielbieniach, zawsze nad własną wartością unosząc się, zawsze w zachwyceniach dla swoich rzadkich przymiotów, nieustannie kwili i gorzko się użala, iż ludzie tej jego urojonej wartości uznawać nie chcą; stąd ciągłe płacze i rozkładane żale. Popycha więc drugich i zniewala skargami, aby za nim biegali i wstawiali się, aby wszędzie i ciągle za srodze skrzywdzonym się ujmowali. Ma nader czułe serce, lecz niespokojny jest i czynny. Dobrodusznych ludzi pochlebstwami ujmuje i za ich pomocą wichrzy w społeczeństwie i mąci, a zawsze dla siebie i dla zaspokojenia rozłożystej miłości własnej, której nic nasycić nic ukoić nie zdoła. Chciwie połyka wszelkie plotki, a najchętniej takie, w których jakie uchybienie dla siebie wypatrzy. Do ich zbierania, gotów osobnego sobie trzymać przyjaciela. Łakomy na pochwały, drugich niekiedy choć skąpo, pochlebstwy uraczyć pragnie, fałdując i kwiląc głupią twarz, której jedna połowa się śmieje, a druga płacze. Uprzykrzony niezmiernie, jest klęską, utrapieniem społeczeństwa, w którym nieszczęściem się wyląg!.

GŁUPIEC POLEROWANY:



Kiedy głupcy bywają bardzo obraźliwi, głupca wypolerowanego nic żym nie obrazisz. Dotkliwe przymówki, żart uszczypliwy lub naganę, bierze za wyraz grzeczności, za który najuprzejmiej dziękuje, mając już raz na zawsze, jedno, z pięknych słówek uwite podziękowanie, do którego szykowny ukłon dodaje. Wreszcie jest bardzo milczący. Nigdy się od ludzi obecnych w zdaniu nie wyróżnia. Przymilonym uśmiechem i skinieniem głowy zwykł potakiwać wszystko, cokolwiek kto powie. Takowa wyrozumiałość nie zawsze z dobroci pochodzi. Oswojony z wytwornym społeczeństwem i wykwintami komnat złoconych, nauczył się więcej milczeć, niż mówić. Stąd jego poważna postać, na której by i sam Lawater oszukał się. Pokrywana głupota jego wtenczas dopiero na wierzch występuje, gdy go kto o co zapyta. Niepożyteczny dla towarzystwa, dla nicości jest tylko figurantem. Głupstwo jego, pod zewnętrznym ukryte polorem, nie obraża i nie nudzi.



GŁUPIEC ZAROZUMIAŁY:

Wszyscy głupcy pawią się rozumem, na którym im zbywa, mają mniej więcej dobre go o sobie rozumienia, lecz wielu przez pychę tej wady w sobie utaić nie umie. Głupiec pyszny i zarozumiały, choć z nader ograniczonym i słabiutkiem rozumem, choć istny drobnowidz, zwykle do najtrudniejszych zrywa się rzeczy i z najrozmaitszymi chodzi w zawody. Oczy miewa biegające, poruszenia żywe, nozdrza wydęte; zacietrzewiony, zawsze w zachwyceniu i uniesieniach. Nierzadko z czymsiś niedorzecznym wystrzeli, choć ciągle zapewnia „że nie w ciemię bity".

Zarozumiałość będąca śmiesznością w głupich, a przywarą w rozumnych, bywa wszelako oznaką jakiejsiś wewnętrznej siły duszy, serca lub rozumu. Ludzie tępi, dusze słabe, osoby gnuśne nie miewają tej przywary.

GŁUPIEC PRZESĄDNY:



Chęć dociekania, odgadnienia przyszłości tak jest wśród ludzi powszechna, iż nawet ludzie rozumni od pewnych przesądów, tłumaczących jakoby przyszłość, nie bywają wolni. Jest to właśnie owa jaskinia Bacona, w której ludzie z geniuszem, błędom zdrowy rozsądek w ofierze składają, tego balwochwalstwa obrządki wielką niekiedy pokrywając tajemnicą. Wielka albowiem jest prawda: iż każdy niemal człowiek, (o wszystkich twierdzić nie śmiem) wziął pewną okruszynę głupstwa w udziale, z którym roztropniejsi tylko zgrabniej i roztropniej taić się umieją. Wszakże z czym człowiek rozumny sam przed sobą się tai, to głupiec za nieomylną obnosi prawdę. Wierzy najmocniej w czary, zamawiania, uroki, sny, gusla i upiory. Ciekawość jego, bliskiej tylko przyszłości sięgająca, ma łatwe i nieomylne zaspokojenia się sposoby. Przewiduje albowiem wszystko, nie rozumiejąc; wnioski które z obserwacyj drobnych okoliczności wyprowadza, naturalnego nie mają związku. Są to tylko przyznaki, i tak, kiedy kotka się myje, albo sroka skrzeczy, pewnie goście przyjadą; w poniedziałek nie wyjedzie w drogę; lęka się obiadu, do którego nieparzysta liczba zasiędzie, zająca i próżnych wiader, które mu drogę przejdą, to bowiem jest nieomylną wieszczbą bliskiego nieszczęścia. Kilka już razy widział, jak pieniądze się palą; wreszcie bardzo narzeka, iż teraz czarownic nie pławią i upiorom ogonów nie ucinają. Kto w to wszystko nie wierzy, jest filozofem; a filozofia u niego jedno znaczy co bezbożność. Wielkim jest miłośnikiem romantyczności, dlatego, że się rada przesądami gminnymi zajmuje. Mickiewicza wiersze (tak bowiem poezję nazywa) za to chwali: że upiory, i guślarskie obrządki nie w żartobliwym opisuje sposobie, lecz chwalić się zdaje.

GŁUPIEC PRZEMĄDRZAŁY:



Brzydzi się sławą, do której przez potoki krwi ludzkiej przeprawiać się trzeba; jemu natura dała wyższy nad innych, szczególniejszy, jedyny geniusz do nauk. Rozpoczął więc trudną pracę oświecania swojego wieku; a że to przez pisma najłatwiej, więc książki sobie pisać postanowił. Przywiózłszy z Paryża do naszego kraju opłakaną nowinę: że już teorię Newtona tam obalono. Jął więc najprzód szarzać, poniewierać sławę i wziętość tych, którym przed nim pisać zdarzyło się. Zburzywszy, jak mniemał, wszystko, tak, iż ani śladu, gdzie była Troja, na czystym już, zaoranym i zawłóczonym polu sam budować rozpoczął. Wyrozumować nic nie mógł, bo głupiec ma wstręt do rozumowania; wreszcie rozumowanie rzecz to mozolna, dla czytelników niemiła, i tak wielkiego męża niegodna; dla niego dosyć wyrzec — same więc jął ogłaszać wyroki; niezrozumiałe jak Pytonissy proroctwa; bo na tym głębokość zależy. Myśli jego nie mają związku, bo geniusz lubi przeskoki. Nikt go nie rozumie, i tym się cieszy, bo to najlepszy dowód jego wyższości. Byłby w sobie szczęśliwy, ale Zoilowie! Zoilowie! plemię jaszczurcze, spać mu nie dają. Znalazł wszelako i na nich sposób; w przedmowie psy na nich wiesza, i tak ich zaklął, iż mu nic szkodzić nie mogą. Cóż go głupcem zrobiło? Pycha.

GŁUPIEC ZAPYTUJĄCY:

Nie z potrzeby, lecz z nałogu i roztargnienia ciągle się pyta, choć odpowiedzi nie słucha, albo nie rozumie. Pytań jego wreszcie albo ciężko zrozumieć, albo nie warto Wśród najciekawszej powieści, kiedy wszyscy tęskliwie rozwiązania oczekując, oddech prawie zatrzymują, wyłazi niespodzianie z zapytaniem, żadnego z opowiadaną rzeczą nie mającym związku, a mimo oburzenia się wszystkich, już w cichości drugie gotuje. Stąd za jego pokazaniem się na wszystkich twarzach niechęć występuje. Niecierpliwsi zaraz ziewać poczynają. Dla tej przykrej wady wszyscy grzecznie go pozbyć się radzi, co jednak nie zawsze się uda; bo o głupstwo jego, jak o żelazną tarczę, wszelkie przycinki się odbijają, nie raniąc. Szczęśliwy w sobie, ale nieznośny dla drugich.

Jan Rojewski

Ilustr. Jerzy Zaruba



Nauka poszła w las

Saepe pater dixit: Studium, quid inutile tempsis...

Często ojciec mówił: po co obrałeś bezużyteczny zawód?
Publiusz Owidiusz Nosal

I miał niewątpliwie „nosa" ojciec Owidiusza, kiedy w szczerej trosce o finanse syna namawiał go do porzucenia zawodu. Przy odrobinie fantazji, nietrudno nawet odtworzyć te fragmenty dialogu między ojcem i synem, których Owidiusz nie przekazał „ad posteritatem".

Ojciec: (gniewnie) Znowu piszesz... (wyrywa zapisane tabliczki z rąk syna i rozbija je na głowie domowego Lara i Penata). Oszczędzam twojej głowy, synu, bo mam jeszcze ciągle nadzieję, że weźmiesz się w końcu za uczciwą pracę...

Owidiusz: Czy praca pisarza jest nieuczciwa?

Ojciec: Każda praca niedochodowa jest nieuczciwa. Z ludzi niezarabiających na swoje potrzeby wyrastają z czasem zbrodniarze i reakcjoniści...

Owidiusz: Słyszałem na forum, że literaci zarabiają krocie. Taki, na przykład, Horacy Obwisłouchy... Pono zmienia hetery, jak rękawiczki. Mówią nawet na mieście, że jego dochód z jednej ody przewyższa miesięczną pensję Mecenasa i Agryppy z Ministerstwa Kultury i Sztuki... (w zachwycie) Za jedną odę!

Ojciec: Ody-sseja, synku, mit... Zresztą, jeden Horacy nie czyni wiosny. W dzisiejszym stanie upowszechnienia naszej rzymskiej kultury nie widzę możliwości zarobkowania w tym zawodzie... Brak papyrusu... remanenty poegipskie z wypraw Cezara i Antoniusza wyczerpały się. Póki nie rozwiniemy własnej produkcji, możesz pisać tylko dla siebie, a to nie opędzi twoich potrzeb...

Owidiusz: Mógłbym na razie pisać do tygodniowych gazet tabliczkowych, tam pono nieźle płacą...

Ojciec: Nie za wszystko synu... Nie sądzę, abyś chciał pisać o miłości, modzie i kosmetyce.... ku uciesze rzymskich bawidamków. Tylko do nich docierają tabliczki. Oni płacą i wymagają.

Owidiusz milczy zamyślony.

Ojciec: Od jutra obejmiesz stanowisko kelnera w restauracji twego stryja. Zarobisz więcej niż Horacy.

Owidiusz: Nigdy! (rozdziera na sobie togę). Już raczej wstąpię do redakcji tabliczkowego tygodnika... (siada do pisania)

Ojciec: Co robisz?

Owidiusz: Zarabiam pieniądze, abym mógł pisać wiersze...

Ojciec: (odczytuje z przerażeniem tytuły na tabliczce) „Medicamina faciei", „Ars Amatoriae". Nie pozwalam! To są głupstwa i pornografia.

Owidiusz: (rozkłada bezradnie ręce) Trudno, w dzisiejszym stanie upowszechnienia naszej rzymskiej kultury, raczej głupstwa i pornografia popłacają...

Ojciec: Z tego nic nie zostanie...

Owidiusz: Zostaną pieniądze, za które napiszę „Księgę Metamorfoz".

Na przekór pewnym powszechnym dzisiaj mitom, rady starego Owidiusza nie nie straciły na aktualności. Na domiar złego, propaganda o uprzywilejowanej sytuacji pisarza znalazła łatwowiernych słuchaczy tam, gdzie prawdziwe osiągnięcia „nowej rzeczywistości" bywają komentowane z maksymalną nieufnością. Obywatel, który nie wierzy, że produkcja krajowa ruszyła, i na wystawie przemysłu Ziem Odzyskanych zagląda podejrzliwie do miski klozetowej, posądzając ją o poniemieckie pochodzenie, z miejsca uwierzył Manifestowi PKWN, w sprawie opieki nad ludźmi sztuki. Rzecz charakterystyczna, że dla kołtuna był zawsze jednym z symbolów dobrobytu w Polsce... literat chodzący bez butów. Raz po raz dochodzą mnie też głosy „stamtąd", że pakuje się dzisiaj miliony w „cyrkowców i pisarzy". Nie jest tak źle. Muszę wprawdzie zmartwić kołtuna, że na odcinku misek klozetowych jest o wiele gorzej niż przypuszcza, bo już dzisiaj każdy w Polsce kołtun ma na czym usiąść, wprawdzie bez książki, którą zawsze lubił czytać w tej sytuacji; za to pragnę go pocieszyć, że z literatami jest lepiej, niż marzył w najbielszych snach. Chodzą bez butów aż miło.

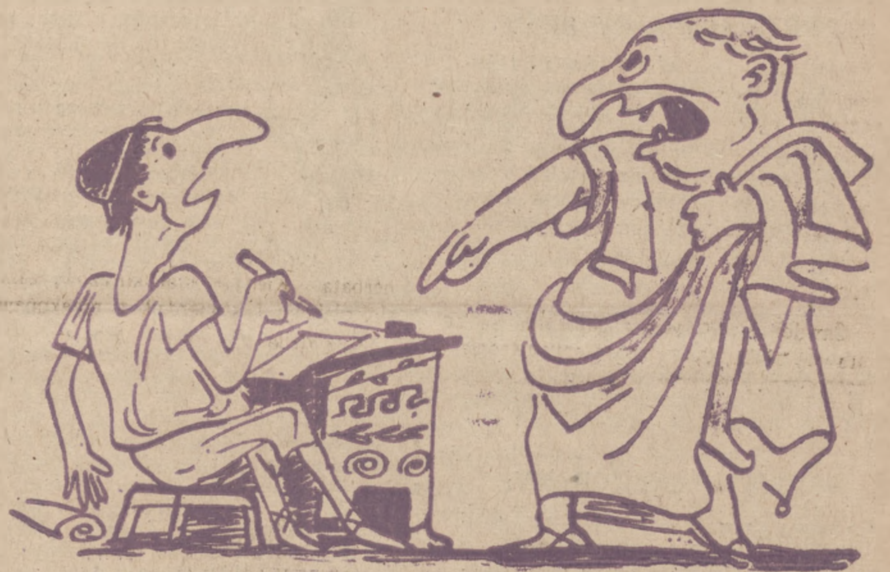
Z innych powodów niż kołtun wierzą w zarobki literatów ludzie „stąd". Po części z winy samych pisarzy. Pisarz, w odróżnieniu od właściciela tajnej garbarni mówi swobodnie o swoich zarobkach. Praca pisarza polega poza tym na **publikowaniu**. Zatajanie koliduje z ambicjami pisarskimi. Kiedy na Zjeździe Literatów oświadczyłem Dzikowskiemu, że nic mi o tym nie wiadomo, że wydał książkę — wcale się nie cieszył. Ta chęć ujawnienia się i podkreślenia swojej ceny rynkowej, a więc i poczytności, graniczy często z przesadą. Należy więc wyjaśnić, ilu spośród pięciuset polskich literatów w ogóle zarabia, co zarabiają najlepiej zarabiający i za jaki rodzaj twórczości.

Myślę, że to podejście do literatury od strony zarobków literatów powinno wiele wyjaśnić w obrazie literatury. Okaże się na przykład, że najmniej opłacalnym rodzajem literackim jest krytyka i powieść. Za dwa lata nieustannej pracy autor powieści otrzymuje przeciętnie pół miliona złotych, w szczęśliwym wypadku całkowitego wyczerpania nakładu. Dwadzieścia tysięcy miesięcznie, to jest o połowę mniej niż zarabia kelnerka w barze kawowym.

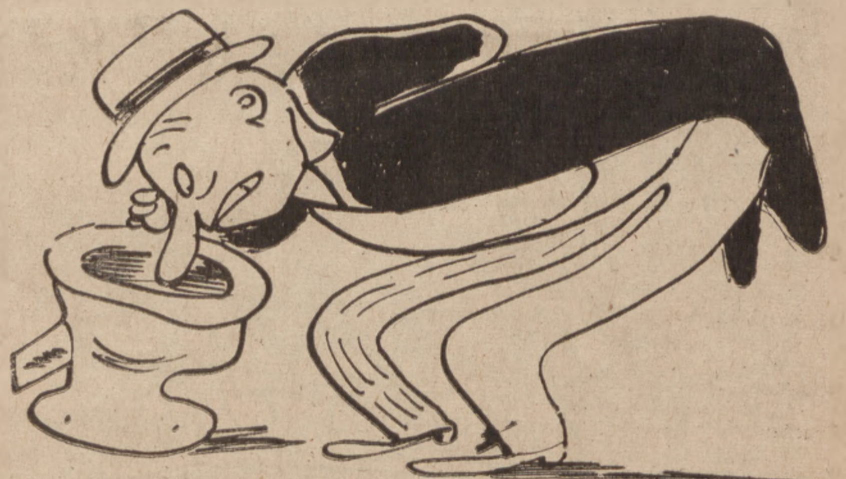
Lepiej zarabiają satyrycy, względnie nieźle bajkopisarze i autorzy podręczników szkolnych. Mały wierszyk dla dzieci z kilkunastustronicowymi ilustracjami, bywa czasem bardziej dochodowy niż obszerna powieść. Nie zapominajmy jednak, że byle zabawka jest dużo droższa niż najpiękniej ilustrowana książeczka dla dzieci.

W sumie ogólna liczba autorów drukujących często, a więc jako tako zarabiających, łącznie z powieściopisarzami, dramaturgami, krytykami, tłumaczami, satyrykami, bajkopisarzami i Stefanią Grodzieńską, nie przekracza, kilkudziesięciu nazwisk. A reszta? Reszta poszła „w czynowniki", zarzuciła pracę literacką, albo pisuje dorywczo. W takich warunkach umiera się z niewykończonym rękopisem.

(Ciąg dalszy obok)



— Znowu piszesz!...

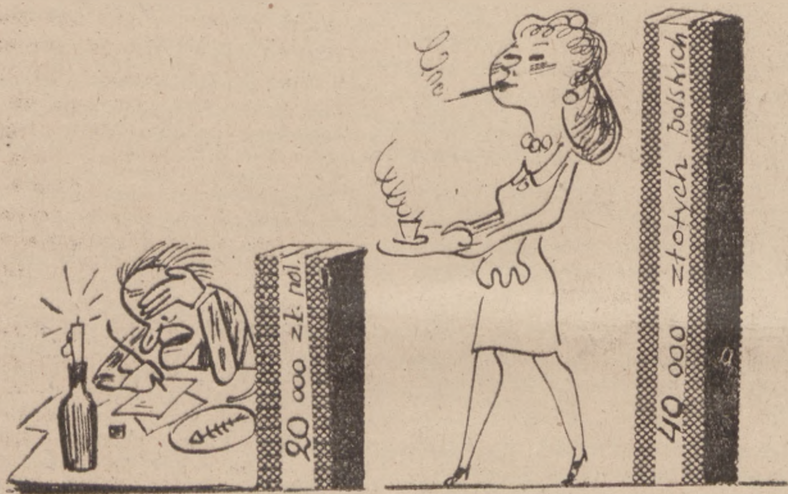


Obywatel, który zagląda podejrzliwie do miski klozetowej...

(*Dokończenie ze str. 10*)

Ale nawet ta nieliczna garstka, zarabiających, musi łączyć rozliczne funkcje, redaktorskie, felietonopisarskie, polemiczne, żeby zdobyte w ten sposób fundusze dokładać do swojej twórczości zasadniczej. Szczęśliwie, jeżeli który jest posłem na Sejm, albo kierownikiem literackim teatru, do którego nie przychodzi.

trudno o dobre horoskopy na przyszłość, je żeli pisarze mają w dalszym ciągu pracować jako buchalterzy, magazynierzy, radcy prawni, kupcy, komiwojażerowie, bibliotekarze, a w najlepszym razie pisywać dyrdymałki dla miłego grosza, lub zgoła jako nocni redaktorzy brukowców układać dziennikarskie nagłówki: „Głowa kobiety w dole kloacznym". Za taki nagłówek otrzymuje się dzisiaj, w dobie „upowszechniania" mniej więcej tyle, co za pięciokolumnowy artykuł w „Myśli Współczesnej".



20.0000 miesięcznie to jest o połowę mniej, niż zarabia kelnerka w barze kawowym

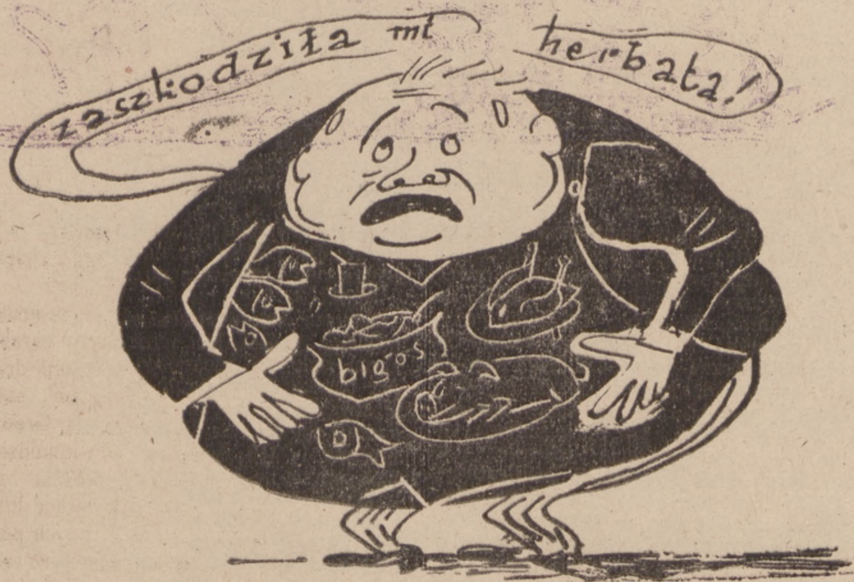
I co tu mówić o upowszechnieniu książki, kiedy nie upowszechniono elementarnych warunków bytu kilkuset literatów, zarejestrowanym w Związkach? Co tu bredzić o „dobrobycie" paru dziesiątków weteranów, którzy po spaleniu bibliotek doczekali się jakiej takiej koniunktury, kiedy reszta to wielkie bajoro bryndzy i dziadostwa. Wiem, utalentowany pisarz, a raczej jeden na stu utalentowanych, przebije się w końcu przez wszystko i wyda tę swoją powieść, sztukę, czy tom wierszy. Prus też wydał „Lalkę" bez Departamentu Literatury.

Chwilowe trudności z papierem są naprawdę drobiazgiem wobec spustoszenia w szeregach krytyków i powieściopisarzy. I

Rzetelny pisarz zarabia mniej niż każdy inny fachowiec, dużo mniej niż rzetelny kupiec, stokrotnie mniej niż właściciel knajpy. Tym dziwniej brzmią w tych dniach „upowszechnionej" spekulacji szmery o nadmiernych zarobkach literatów, podważających jakoby powszechną równowagę płacy i pracy.

Przypomina mi to starą anegdotę o sybarycie, który zjadł na obiad cztery ryby, gar bigosu z kapustą, indyka z borówkami, prosię z kaszą i pół tortu, a potem popił herbatą. Kiedy dostał kurczów, zamyślił się głęboko i stwierdził z przekonaniem: „Zaszkodziła mi pewnie herbata".

Jan Rojewski



My z „GARLANDA"

(*Dokończenie ze str. 8*)

Nie dam się za głowę trzymać, jak nie chcesz zastrzyku dać, to kraj. I krajał. Ropy pociekło, jak z garnka i na drugi dzień gorączka 37,6 i nasz doktór przychodzi: — No, Grudka — powiada — ręka uratowana.

W tej Rosji dobrze ja się przypatrzył. Głód tam wtedy był jak nic. Rano dawali herbatę z ziółek, chleba kawałek czarny i twardy, ani ugryźć. Na obiad kaszę czarną w miednicy przynosili, wieczorem kawę z żołędzi. Ale spirit u nich pierwsza klasa i trzymają się fest.

My z „Garlanda"

Jak my z powrotem jechali, to jużeśmy na okręcie tylko ryż jedli (prowiantu nam nie dali), ale lepiej to smakowało. Drugi nas się okręt przez megafon pyta: „Nie macie czego do jedzenia?" — to my, że drożdże mamy — a oni się ucieszyli mamy mąkę, dawajcie drożdży — to wam mąki damy. I założyli my skrzynkę na linę na ich burtę zarzuconą — oni worek z mąką i tak w kółko ciągiem — tu mąka — tam drożdże. Kucharze mąkę złapali, całą noc chleb piekli, rano chleb był na śniadanie, jak najlepsze kołacze.

Z powrotem to nas Fokker Wolfy prowadziły, no i submaryny nas atakowały. Jak my przyjechali do Szkocji — mówię ja do kolegi — dawaj z portu na dobrą kolację skoczymy, ale tu sanitarka już stoi, za kołnierz nas i do szpitala. W szpitalu gips mi z ręki zdejmują. Anglik się dziwi, kto taki gips zakłada — dwie godziny zbijali. Ręka pod gipsem całkiem skręcona i z rany już nie ropa, a smoła cieknie. Jeszcze dwa dni, znów by gangrena była.

Idziem potem z kolegą na stacji w Edynburgu — dwóch naszych żołnierzy idzie — kapral i sierżant. Kapral powiada — patrz ci pewnie z „Garlanda" — a sierżant — ee, pewnie się gdzieś sukinsyny po pijanemu pobili. Jak mnie krew zalała — jak tą zdrową ręką fangę mu w zęby dałem, na gębę upadł i ani się podniósł. A kapral ani go ratuje, tylko do mnie podchodzi i pyta:

— To panowie z „Garlanda?"

— A z „Garlanda" powiadam.

Eugeniusz Cękalski

RECENZJI NIE BĘDZIE

Państwowy Teatr Polski w Warszawie hołduje dziwnym obyczajom. Oto przesyła nam dwie fotografie ze sztuki Ostrowskiego „Wilki i owce". Dyrekcja Teatru zna więc dobrze, nasz adres... Ale tylko wtedy, gdy nas o coś prosi, a nie wówczas, gdy trzeba nam przesłać bilet na przedstawienie. Wówczas traci pamięć. A więc fotografie zamieszczamy, ale recenzji dać nie możemy. Pan Szyfman o „Tygodniu" zapomniał.



Karolina Lubieńska — Głafira
Fr. Dominiak — Łynlajew



Fot. Film Polski

Od lewej: S. Broninówna - Murza wiecka, W. Godik - Czugunow, W. Gliński - Apollo Murzawiecki

NOWE KSIĄŻKI

Limanowski Bolesław — Historia Demokracji Polskiej. — Spółdz. Wyd. „Wiedza".
Dąbrowski Jan — Miejsce pod niebem Spółdz. Wyd. „Wiedza".
Ga... ska Natalia — Polska na przełomie ... ycia gospodarczego 1764 1830 — ...dz. Wyd. „Wiedza".
Ossowski Stanisław — Ku nowym formom życia społecznego — Spółdz. Wyd. „Wiedza".
Grosman Leonid — Śmierć poety — Spółdzielnia Wyd. „Wiedza".
Truchanowski Kazimierz — Zmowa Demiurgów — Wydawn. E. Kuthana.
Gołubiew Antoni — Puszcza — Bolesław Chrobry — Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik".
Gołubiew Antoni — Szło nowe. Bolesław Chrobry — Spółdz. Wydawn. „Czytelnik".
Wołowski Jacek — Tak było — Spółdz. Wyd. „Czytelnik".
Szymański Zygmunt — Jarosław Dąbrowski — Spółdz. Wyd. „Czytelnik".
Bocheński Aleksander — Dzieje głupoty w Polsce — Wyd. „Panteon".
Trepiński Antoni — Od San Domingo do Monte Cassino — Tadeusz Wilczyński, Kraków, księgarnia, ul. Św. Tomasza 25.
Puacz Edward — Kosynierzy gdyńscy — Spółdz. Wyd. „Wiedza".
Kossak Zofia — Puszkarz Orbano — Spółdz. Wyd. „Czytelnik".
Kowalewski Stanisław — Ofiarowanie — Spółdz. Wyd. „Czytelnik".

KRONIKA KULTURALNA

CHATA CZY CHAŁUPA? Jak trzeba nazywać dom mieszkalny chłopa na wsi? Oto pytanie, bynajmniej nie błahe, lecz mające wagę społeczną, kulturalną i językową. Która z dwóch nazw powyższych ma wartość uczuciową dodatnią, a która ujemną? Która powinna obiegać w mowie potocznie, a która w znaczeniu tylko pogardliwym? Takie myśli nasuwają się po przeczytaniu uwag p. A. Toma w Nr 139 „Robotnika". Cytując urywek z komunikatu PSL w sprawie Święta Ludowego: „Wszystkie chałupy winny być ustrojone zielenią" — A. Tom notuje na jego marginsie: „Zdawało mi się zawsze, że chłopi mieszkają w chatach... Ładne to, tradycyjne słowo. A co to znaczy chałupa? Mniej więcej to samo, tylko w pogardliwym znaczeniu... Dlatego, rozmawiając z chłopem o jego domostwie, uważałbym za nietakt użycie słowa: „chałupa".

Czy wyraz „chata" jest rzeczywiście „tradycyjny"? Czy chłop czułby się dotknięty, gdyby o jego domostwie powiedzieć: chałupa? Słownikarze polscy (Linde, Karłowicz, Brückner) stwierdzają, że tradycyjnym wyrazem jest właśnie „chałupa". „Chata" jest pochodzenia późniejszego. Brückner mówi wręcz: „u nas to słowo nowe... jest to pożyczka ze Wschodu irańskiego — staroperskie: kata; przyszło do nas poprzez Ukrainę". Rzeczywiście, w Wielkopolsce, w Małopolsce, na Mazowszu chłop o swoim domu powiada raczej „chałupa" niż „chata". Ta ostatnia znowu częściej występowała za Bugiem, na Wołyniu i na Podolu, choć z biegiem czasu uzyskała równe prawa obywatelskie z chałupą, jak o tym świadczą choćby przysłowia: „czym chata bogata"; „sto lat i sto chat"; „jedna chata nie czyni miasta". Syn ludu — Reymont, który, mimo niejakie dowolności w posługiwaniu się mową chłopską, znał dokładnie życie książaków, stale — z bardzo nielicznymi wyjątkami — używa w „Chłopach" wyrazu „chałupa". Pospolity jest on również w poezjach chłopskich Kasprowicza, który sam był chłopem z Kujaw. Od „chałupy" też poszły określenia: chałupnik, chałupniczy, chałupnictwo. Ale wyrazy, jak wiemy z semantyki, „żyją" czyli zmieniają nieraz znaczenie, nabierając tego czy innego odcienia uczuciowego. Więc i „chałupa" mogła się stać pojęciem ujemnym, „chata" natomiast dodatnim, choć niegdyś „chata" oznaczała nędzne domostwo, czego dowodem zwrot „kurna chata".

Krótko mówiąc, widzimy, że istotnie należałoby uporządkować sens obydwu wyrazów, mogą bowiem one wywoływać nieporozumienia, nie tylko leksykalne, ale i społeczne. Głos w tej sprawie powinniby zabrać uczeni językoznawcy, przede wszystkim redaktorzy „Języka Polskiego". Najlepiej byłoby nazywać mieszkanie chłopa „domem", ale musi to być budynek kulturalny — kryty dachówką i, o ile możności, murowany.

ARTUR SANDAUER, jeden z nielicznych dziś u nas krytyków literackich, mających gruntowną wiedzę teoretyczną i szeroką znajomość prądów kulturalno-literackich europejskich, objawił się również jako doskonały beletrysta w dopiero co wydanym tomie nowel czy raczej opowiadań p. t. „Śmierć liberała". Są to rzeczy z czasów okupacji, głęboko przemyślane, pisane z wielkim poczuciem odpowiedzialności — i za słowo, którego Sandauer nigdy nie nadużywa, i za treść objektywną, realną, życiową tego, co Sandauer opisuje, a w czym szuka przede wszystkim prawdy psychologicznej. „Śmierć liberała" jest to jedna, a może jedyna, z książek „okupacyjnych", w której nie ma ani propagandy, ani namiętności w traktowaniu tematu, ani pogoni za efektem. Autor musiał ją pisać, trudząc się i marszcząc mocno czoło, stworzył więc rzecz ludzką i artystyczną.

ST. ŁATKA

Recenzja lotnika z lotniczej sztuki „TRASA"

W TEATRZE „JASKÓŁKA" W WARSZAWIE

Przed paru miesiącami powróciłem do kraju z Anglii, gdzie przez długich sześć i pół lat służyłem w lotnictwie, latając w jednym z polskich dywizjonów myśliwskich. Nic więc dziwnego, że na wiadomość o wystawieniu w Warszawie sztuki opartej na życiu lotników polskich na emigracji serdecznie się ucieszyłem, tym bardziej, że w sztuce wymieniona jest nazwa 307 Lwowskiego Dywizjonu Nocnych Myśliwców.

Życie i dzieje tego dywizjonu są dobrze mi znane choćby ze względu na to, że przez wiele miesięcy 308 Krakowski Dywizjon Myśliwski, do którego należałem, stacjonował wraz z 307-ym na lotnisku Exeter. Zżyliśmy się i poznawaliśmy się dobrze, zarówno w okresie pełnym dramatycznych napięć w czasie nasilenia lotów bojowych, jak też przy kieliszku whisky. „Nocniki" w dzień, jeśli tylko nie



Stanisława Engelówna, Adolf Nowosielski.

spali, z zainteresowaniem przyglądali się naszej służbie, polegającej na ofensywnych patrolach po drugiej stronie Kanału, a w nocy my z kolei śledziliśmy z napięciem ich trudną i odpowiedzialną pracę niszczenia bombowców niemieckich w obronie miast angielskich, z tym, że niejednokrotnie współpracowaliśmy z nimi w ich nocnych łowach na grubego zwierza, robiąc co mogliśmy na małych szybkich „Spitfire'ach", by nie śmieli się z nas, że w nocy tylko pić i bawić się umiemy. Byli oni mścicielskim narzędziem genialnego radaru.

Lecz nie tylko to zachęciło mnie do obejrzenia sztuki. Fakt, że w „Trasie" występują postacie Anglika i Angielki (czy też Szkotki) w W.A.A.F. — Kobiecej Pomocniczej Służbie Lotniczej — przyjemnie mnie zainteresował ze względów osobistych: żonę moją bowiem, Angielkę, z którą wróciłem do kraju, poznałem właśnie, gdy nosiła stalowy mundur W.A.A.F. na podlondyńskim lotnisku Northolt.

Światło... gong... kurtyna.

Nie czuję się powołanym do krytyki sztuk dramatycznych, a co za tym idzie do pisania z nich recenzji. Niech więc wyrozumiały czytelnik nie sądzi mnie zbyt ostro za cały szereg uwag — bynajmniej nie ze złej woli — jakie mi sztuka bezwiednie nasunęła na myśl. Sądząc po nastrojach publiczności po zakończeniu przedstawienia, wnioskuję, że sztuka osiągnęła swój cel i cieszy się powodzeniem. Rzeczywiście — smuci, bawi, daje dużo silnych wrażeń, wzrusza widza, dla którego, w przeciwieństwie, na przykład, do widza angielskiego, lotnictwo stale jeszcze jest czymś podniecająco - tajemniczym.

Autorowi „Trasy" panu Kazimierzowi Barnasiowi mam wiele do zarzucenia. Wyznaję szczerze: „Trasa" podobała mi się. Przez cały czas sztuki byłem w innym świecie, byłem znów porucznikiem - pilotem dywizjonu myśliwskiego na lotnisku „gdzieś w Anglii". Tylko, że świat ten jakżeż był różny od tego prawdziwego, w którym wraz z panem Barnasiem żyliśmy, choć nie pamiętam, byśmy się kiedyś spotkali.

Stając w obronie lotników w Anglii, zarzuty swe ujmę w trzech punktach:

1) teatralna, wprost groteskowa sztuczność wyrażania uczuć;
2) niefachowość w zasadniczych zagadnieniach związanych z lataniem;
3) krzykliwe eksponowanie subtelnych uczuć lotnika, przechodzących w histerię.

Motywuję punkt 1.

Bohater sztuki, Stefan Turzyca, rozhisteryzowany, roztrzęsiony nerwowo pilot myśliwski, śmieje się, dowcipkuje, mówi o swej odwadze i brawurze bez cienia zażenowania, znów się śmieje długo, serdecznie, by nagle, w ułamku sekundy zmienić się w nieprzytomnego marzyciela szepczącego żałobnym, tęsknym, teatralnym, przeciągłym tonem oderwane i niepowiązane myśli patriotyczno - filozoficzne. Litości! Pilot, żołnierz — czy płaczliwy histeryk? Takich u nas w Anglii nie było. Bardzo przepraszam, ale protestuję głośno i ostentacyjnie. Na tym miejscu muszę wyrazić szczery podziw dla pana Adolfa Nowosielskiego, który z dużym talentem i artyzmem zagrał tę trudną i nienaturalną rolę.

Punkt 2.

Pisząc o niefachowości „Trasy", czuję się oburzony! Jak można w tak krzywym zwierciadle przedstawić życie i akcję bojową pilotów. Angielski dowódca, major, kieruje przebiegiem ważnego lotu bojowego Turzycy (odnalezienie i przywiezienie do Anglii rannego i konającego z wyczerpania agenta brytyjskiego z Kontynentu; w posiadaniu agenta znajdują się bardzo ważne papiery, które według słów majora przyśpieszyć mogą wygranie wojny o szereg miesięcy), zupełnie nie panuje nad swym podwładnym, daje mu różne rozkazy, z których Turzyca sobie dosłownie bimba i robi, co mu się żywnie podoba. Mianowicie walczy i zestrzeliwuje, jak z bicza trzasł parę samolotów niemieckich, które strąca jak gruszki z drzewa, choć akcja dzieje się w nocy. 307-y miesiącami ćwiczył, szkolił się w coraz to lepszych metodach, przez dziesiątki nocy wiele maszyn z instalacją radarową obsługiwaną przez doświadczonych operatorów, naprowadzających pilota na nieprzyjaciela, uganiało się za taką okazją. Ale nie o to chodzi. Co mnie gniewa, to to, że major w rezultacie toleruje ten skandaliczny brak dyscypliny ośmieszający pilotów, mimo, iż major sam był zdegradowany i ukarany za samowolne wysadzenie w powietrze własnej kolumny amunicyjnej, gdyż wziął ją za nieprzyjacielską i po locie stale mówi o jakiejś brawurze, szaleństwie...

To nie żadnym szaleństwem wygrało się wojnę powietrzną na Zachodzie, tylko żelaznym poczuciem dyscypliny powietrznej wśród personelu. Nie raz i nie tysiąc razy duma, ambicja i porywczość pilotów musiała być opanowana dla dobra powierzonego zadania. Słowo „brawura" nieznane było w słowniku pilotów. Słowo to tylko niedosłyszalnie przesycało wszystkie komunikaty z wykonanych zadań. Głęboki, piękny i niejednokrotnie tragiczny sens tego słowa jedynie czuło się, rozumiało, lecz nigdy o nim nie mówiło.

No, ale trudno. Wybaczam z kolei znak pilota polskiego na mundurze szkockiej panienki i angielski znak obserwatora na mundurze pilota polskiego. Pomylili się po prostu. Wybaczam również wyrażenie w rodzaju: „to tak naumyślnie — wpadł w korkociąg dla wyrównania sterów (???)" i pomyłkę autora odnośnie przepisów t. zw. „Kings Regulations". Autor myli się, mówiąc ustami Turzycy, że regulamin lotów bojowych napisany został przez lorda Portala w zaciszu jego gabinetu. Nic podobnego. Mądry i szczegółowy ten regulamin powstał w drodze setek eksperymentów praktycznych, nie raz okupionych życiem; zrodził się on na lotniskach, startach, w hangarach i przy mapach operacyjnych. Dojrzał natomiast w powietrzu, w walce. Wybaczam zdziwienie majora, wywołującego przez radio Turzycę. Gdy ten nie odpowiada, major dochodzi do smętnej konkluzji: „Czyżby zmylił kierunek?" — tak, jakby zmiana kierunku w locie mogła wpłynąć na odbiór radiowy. Boże drogi, przecież żyjemy w okresie radaru a nie podsłuchu samolotów na ucho. Poza tym, poco ten krzyk do mikrofonu? Czyżby ani autor, ani reżyser nie wiedzieli, że wszystkich speakerów radiowych, a tym bardziej lotniczych, cechować musi bezwzględny spokój i głos ich brzmieć powinien opanowanie, sucho, stanowczo, lecz beznamiętnie. Lotnicza instalacja łączności radiowej między stacją ziemną a pilotem w żadnym wypadku nie jest przeznaczona do spełniania roli pośrednika w zagrzewaniu pilota do walki bojowymi okrzykami. Wiem, że chodzi tu o sceniczne momenty dramatyczne, ale to jednak nie usprawiedliwia popełnionego błędu.

W dalszym ciągu wybaczam wiele innych rzeczy, nie wyłączając wybryków sielankowo usposobionego Turzycy, który ląduje samowolnie na terenie okupowanym przez Niemców i zbiera sobie... kwiatki. Śliczny incydent! Potrzeba było wielomilionowej armii, by szturmem zdobyć nadbrzeżne fortyfikacje kontynentu. Turzyca rwie kwiatki na łaczce. Opodal stoi jego samolot. Słonko świeci. Bretania czy Normandia w roku 1942 lub 1943. Jakbym widział tę wiosenną scenkę (były wypadki lądowania na kontynencie w specjalnych warunkach i okolicznościach, ale chyba nie po kwiatki).

Punkt 3.

Zawsze interesowała mnie psychologia lotnicza. Osiem lat spędzonych w lotnictwie dało mi możność zaobserwowania, jak bardzo subtelnymi ludźmi są lotnicy w wyrażaniu swych uczuć. W podświadomej obawie, że ludzie nielatający nie zrozumieją ich, wolą milczeć. Skala wrażeń lotnika jest ogromna i kolorowa, jak najpiękniejszy wachlarz. Piękno chmur i kolorowych widoków nieba słonecznego lub też oświeconego księżycem i blaskiem roziskrzonych gwiazd kontrastuje z uczuciem wobec grozy burzy, mgły i śnieżycy, walki i tragedii powietrznych, kontrastuje z wysiłkiem zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Dla lotnika są to uczucia święte. Tych uczuć i wrażeń nie można podać widzowi na patelni, naprędce usmażonych paroma nawiązującymi dialogami okolicznościowymi. To są intymne uczucia i wymagają dużo taktu i poszanowania w operowaniu nimi, choćby nawet na scenie. A w „Trasie" Turzyca nawet bije się ze szkockim obserwatorem Tomem Wight o prawo do lotu bojowego, gdy major polecił jednemu z nich zgłosić się na ochotnika na jakiś trudny lot.

I znowu to samo: przecież obserwator, którym jest Tom, chwilowo za karę pełniący funkcję fotografa powietrznego i tak nie mógłby lecieć sam, bo nie jest pilotem. Coś w tym wszystkim jest niejasne.

Ale to drobnostka. Jakżeż bardzo odlegli są lotnicy od tego rodzaju manifestowania swej gotowości bojowej.

Pan Barnaś powinien jednak o tym pamiętać. No, ale cóż, teatr teatrem, a życie życiem. Tak zawsze było.

TADEUSZ SCHIELE



Stanisława Engelówna, Adolf Nowosielski, Stefan Ruszek, Mieczysław Piotrowski.

5.000 LITRÓW MLEKA DAJE ROCZNIE DUŃSKA KROWA

Przetwórczość hodowlana w rękach spółdzielczości

(Korespondencja własna)

KOPENHAGA, w maju

Pół godziny jazdy autokarem po szosie, wijącej się wśród duńskich osiedli podmiejskich dzieli Doświadczalny Ośrodek Hodowlany „Fawerholm" od Kopenhagi...

Schemat zasadniczy zabudowań tego Państwowego Ośrodka nie różni się niczym od zagród duńskich sprzed 200 lat... Bo i taki rezerwat oglądała wycieczka polskich dziennikarzy w muzeum etnograficznym na wolnym powietrzu. Była to zagroda w kształcie zamkniętego czworoboku, budowana tak, celem ochrony przed wichrami — charakterystycznymi dla klimatu w Skandynawii. Południowe skrzydło przeznaczono na część mieszkalną, w pozostałych mieściły się zabudowania gospodarcze i pomieszczenia dla zwierząt.

Ośrodek w „Fawerholm", wierny tradycjom, opierając się na dawnym schemacie, stworzył nowe formy i to formy nawskroś nowoczesne, wprowadzając wszelkie możliwe ulepszenia...

I tak, w budynkach z żelazo-betonu mieści się królestwo zwierząt. W przestronnej, podzielonej na przegrody hali, dobrze wentylowanej, oświetlonej, 160 krów przebywa pod obserwacją i troskliwą opieką fachowców. Każda lokatorka obory posiada swą kartę genealogiczną i dokładny wykaz mleczności. Dojenie odbywa się ręcznie, albo mechanicznie. Jedna krowa daje przeciętnie rocznie 5.000 litrów mleka (350 kg. masła).

Mleczność „Saviny", tej pierwszej z brzegu czarnuli w białe łaty wynosiła 7.475 l. rocznie — procentowość tłuszczu sięgała 4,09 (342 kg. masła).

Krowy karmi się makuchą, żytem, burakami cukrowymi; młode jałówki i cielęta — mlekiem i serwatką...

W odrębnych pawilonach mieszczą się świnie rzeźne, maciory z prosiętami, knury wagi ponad 200 kg.

Ośrodki tego typu znajdują się przy szkołach rolniczych, których gęsta sieć znajduje się w Danii, każda niemal wioska ma swoją szkołę rolniczą.

Odbiorem mleka, przetwarzaniem i sprzedażą produktów ośrodków hodowlanych zajmują się wyłącznie spółdzielnie.

W chwili obecnej na terenie Danii znajduje się ok. 1.400 przetwórni mleczarskich, liczących 190.000 członków. Roczny obrót wynosi 900 mil. koron. Dostawcy otrzymują jednakowe ceny za mleko, niezależnie od dostarczonych ilości. O wyższej płacy decydować może tylko jakość mleka.

Rozwój przetwórni mleczarskich wywołał z kolei konieczność zorganizowania spółdzielni eksportowych. Jest ich 10, a obrót ich sięga już 200 milionów koron.

Drugą poważną gałęzią spółdzielczości, opartą na hodowli, są spółdzielnie wędliniarskie.

Trzeci typ — to spółdzielczość jajczarska. Eksportem jaj zajmuje się w Danii 830 spółdzielni, skupiających 43.000 członków.

(B.)

O DOBRE IMIĘ PRACOWNIKA SPÓŁDZIELCZEGO

Cała niemal prasa, wychodząca w Polsce, przy różnych okazjach akcentowała swój pozytywny stosunek do ruchu spółdzielczego, jakkolwiek nigdy nie uchylał się od rzeczowej krytyki.

Krytyka rzeczowa musi każdemu wyjść na dobre, jest też tak niezbędna jak wentylacja w magazynach. W dymie kadzideł i pochlebstw doszłoby do samouwielbienia i zatracenia perspektywy w stosunku do własnych czynów. Ale, jak zaznaczyłam, krytyka i uwagi rzeczowe oraz prawdziwe fakty byłyby pożądane. Tymczasem w niektórych wydawnictwach prasy codziennej ukazują się wzmianki, wyolbrzymiające niewielkie stosunkowo przewinienia placówek spółdzielczych, a często zdarza się, iż prasa tendencyjnie jest źle informowana przez swoich korespondentów i zamiast zadać sobie minimalny trud sprawdzenia u źródeł prawdziwość wiadomości — skwapliwie ją zamieszcza.

Jest też już niemal systemem pewnej części prasy, że jeśli w jakimś nadużyciu na 20 osób np. z PCH jest jeden pracownik „Społem" — to w nagłówku na pewno jemu właśnie poświęcone będzie pierwsze miejsce.

W ruchu spółdzielczym nie pracują same anioły i czasem ktoś ulegnie pokusie i popełni nadużycie, lecz pracowników central spółdzielczych i spółdzielni jest w Polsce łącznie 176 tysięcy, a przestępstw, obiektywnie trzeba stwierdzić, proporcjonalnie niewiele. System kontroli w ruchu spółdzielczym jest mocno rozwinięty i stale usprawniany. Nie zdarza się też, aby dla jakichś „wyższych celów" czyjekolwiek nadużycie było skrywane i sami pracownicy dopilnowują tego.

Nie znam instytucji w Polsce, gdzie pracowałby bardziej ideowy element, jak w spółdzielczości. Może w instytucjach charytatywnych. I dlatego rzucanie cienia na dobre imię pracownika spółdzielczego jest niesłuszne. Większość spółdzielców pracuje poza godzinami obowiązującymi, do minimum sprowadzając swoje życie osobiste i wierzy, że pracuje dla ukochanej przez siebie idei. Dlatego też stanowisko części prasy podsuwającej społeczeństwu obraz spółdzielczości w krzywym zwierciadle jest dla nich specjalnie bolesna.

ZOFIA WILCZYŃSKA

Spółdzielczość na Ogólnokrajowej Wystawie Powojennej Książki Polskiej

Pojęcie „oświata" łączy się zawsze z pojęciem „książka". Książka jest narzędziem oświaty jest jednocześnie środkiem służącym do jej zdobycia. Bez słowa drukowanego, bez książki nie ma oświaty w nowoczesnym jej rozumieniu, oświaty, która na stopniach niższych i wyższych obejmuje różne warstwy narodów, całe społeczeństwa. Dlatego Niemcy, chcąc zniszczyć oświatę w Polsce, tak zaciekle niszczyli książkę polską.

Tegoroczne „święto oświaty" łączy się z otwarciem zorganizowanej przez Związek Księgarzy Polskich (koło Łódzkie) Ogólnokrajowej Wystawy Powojennej Książki Polskiej.

Na wystawie zobrazowany jest dorobek wydawniczy instytucji państwowych, prywatnych i spółdzielczych. Imponujące te osiągnięcia wielkich spółdzielni wydawniczych, jak „Czytelnik", „Książka", „Wiedza", „Społem" prezentuje 31 broszur, poświęconych zagadnieniom spółdzielczości, propagowaniu jej idei. Ogółem wystawa obejmuje około 2.000 pozycji, zaczynając na naukowych, a kończąc na beletrystyce, licznych książkach dla dzieci i młodzieży. Osobne działy poświęcone będą wydawnictwom o ziemiach zachodnich i opisującym martyrologię polską w czasie okupacji.

Dobrze się stało, że Zw. Ks. Pol. pomyślał o zorganizowaniu tej wystawy. Pozwoli to obok wykresów, ilustrujących zniszczenie książki przez okupanta, ukazać społeczeństwu odbudowę ruchu wydawniczego i książki. Pozwoli zobrazować rolę, jaką grają w tym ruchu spółdzielnie wydawnicze. Spółdzielczość także w tej dziedzinie wniosła twórczy rozmach.

Z.

ZAKŁADY GRAFICZNE „Społem"

stały się poważną placówką wytwórczą

Nie wszyscy w Polsce są poinformowani, że „Społem" jest w posiadaniu placówki drukarskiej pod nazwą „Zakłady Graficzne" w Łodzi.

Powstała ona niedawno. W styczniu 1946 r. ruszyła pierwsza płaska maszyna drukarska, a w grudniu tegoż roku pracowało już 9 pedałów, 10 maszyn płaskich, 3 linotypy, 2 litografie, 2 offsety, 3 liniarki, 7 gilotyn, 2 falcówki i 1 tokarka. Na montaż czekało dalsze 10 maszyn płaskich, 5 linotypów, 3 offsety, 2 liniarki i 3 gilotyny. Motorów czynnych było 81 o sile 177 K.M.

Jak z tych wyliczeń widać, Zakłady Graficzne „Społem" po całkowitym montażu maszyn będą bardzo poważną placówką drukarską w Polsce. Zresztą już w 1946 r. dały poważne rezultaty. Świadczą o tym obroty. W styczniu 1946 r. wynosiły one 1,6 mil. zł., w kwietniu wzrosły do 5 mil. zł., na grudzień osiągnęły cyfrę 18,5 mil. zł. Obrót za cały rok wynosił 85 mil. zł.

W rezultacie Zakłady Graficzne wysunęły się na piąte miejsce spośród wszystkich placówek przemysłowych „Społem", nie biorąc pod uwagę młynów, które w obrotach przodują.

Zakłady Graficzne pracowały w 98% dla potrzeb spółdzielczości, a w 84% dla samego „Społem". Cyfry te najlepiej świadczą o konieczności takich zakładów dla spółdzielczości.

Obecną wartość Zakładów Graficznych oblicza się na 50 mil. zł., z czego maszyny i narzędzia na 35 mil. zł., surowce na 15 mil. zł. W obliczenia te nie wliczone są inwestycje budowlane, które są znaczne.

Dalsza organizacja i rozbudowa Zakładów graficznych „Społem" w Łodzi nadal jest w toku. Wszystko wskazuje na to, że staną się one jedną z najpoważniejszych placówek wytwórczych „Społem", spełniając doniosłą rolę dla spółdzielczego rynku wydawniczego.

Jak pracują Oddziały „Społem"

Oddział powiatowy w Ciechanowie

Przed wojną istniała w Ciechanowie składnica „Społem", jako ekspozytura Oddziału Warszawskiego, tej już wówczas potężnej organizacji spółdzielczej. Od 1 kwietnia 1945 r. Ciechanów jako miasto powiatowe otrzymał powiatowy Oddział, którego organizacją zajął się obecny jego kierownik p. dyr. Jan Kurjan, znany działacz spółdzielczy, który przez lat dwanaście bez przerwy pracuje na tym polu, przechodząc prawie wszystkie formy organizacyjne spółdzielczości, od uczniowskiej poczynając, poprzez wiejską, wojskową, rolniczą i powszechną, aż do „Społem".

Oddział Powiatowy „Społem" w Ciechanowie, ul. Warszawska 61, zaopatruje w towary 27 spółdzielni wszystkich typów z terenu całego powiatu. Prowadzi działy kolonialno - spożywczy, włókienniczy, materiałów budowlanych i opałowych oraz hurtownie: soli, wyrobów PMS, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych, zatrudniając 36 pracowników.

Obroty Oddziału w 1964 r. dały około 120 mil. zł. Na bieżący rok preliminowano je w wysokości 269 milionów złotych. Pierwszy kwartał br. przynosi już 50.772.636 zł.

Magazynów Oddział do tej pory nie posiadał. Trudno bowiem nazwać magazynami sześć niewielkich szop położonych w sześciu punktach miasta. Dopiero teraz Oddział otrzyma właściwy magazyn. Budowa tego magazynu drobnicowego na posesji nabytej przy ulicy Ks. Jankowskiego 1, jest na ukończeniu. Tam też przeniesione zostaną biura Oddziału. Koszt budowy magazynu, przebudowy domu na biura wraz z ceną nabycia nieruchomości wyniesie łącznie 7.750.000 zł. Ponadto jeszcze w bież. roku projektuje się nabycie placu przy torze kolejowym i rozpoczęcie budowy magazynu na towary masowe z własną bocznicą kolejową. Tabor Oddziału składa się z czterech samochodów ciężarowych i jednego osobowego.

Powiat jest wybitnie rolniczy. Sieć Spółdzielni niedostateczna. Należałoby otworzyć jeszcze około 30 sklepów. W bieżącym roku powstanie 10 nowych sklepów. Spółdzielnie w 90 proc. pokrywają swoje zapotrzebowanie na towary w zakupach w Oddziale. Istniejąca przy Oddziale Rada Oddziałowa wykazuje słabą działalność. Dopiero nowe wybory członków Rady stan obecny mogą poprawić.

Otwarcie domu wypoczynkowego spółdzielców warszawskich

Z inicjatywy kierownictwa największej w Warszawie Spółdzielni Dzielnicowej Warszawa — Śródmieście otwarty został w Michalinie Dom Wypoczynkowy dla pracowników, ich rodzin i członków spółdzielni. Otwarcie Domu odbyło się bardzo uroczyście. Do Michalina zjechało kilkaset osób, rekrutujących się zarówno z pracowników Spółdzielni Warszawa — Śródmieście, jak i licznych przyjaciół i członków.

Otwarcia Domu dokonał prezes zarządu PSS Warszawa — Śródmieście, ob. Cyprysiak, po czym przemawiali prezes Rady Nadzorczej, inż. Zgierski i przewodniczący Rady Zakładowej, ob. Kornacki. Najstarszy pracownik spółdzielni 25-letni jubilat, ob. Wojtczak, wciągnął na maszt tęczowy sztandar.

Dom Wypoczynkowy PSS Warszawa—Śródmieście położony jest wśród 3-hektarowego parku sosnowego. W trzech odremontowanych willach może pomieścić się na raz przeszło 100 osób. Osobny budynek stanowią łaźnie i prysznice, które będą już czynne w lipcu br. Na terenie parku wybudowano boisko sportowe dla koszykówki i siatkówki. W przyszłym sezonie będzie czynny basen pływacki.

NA PLENERZE

PRACOWNIA PROF. BARTŁOMIEJCZYKA NA STUDIACH W SUFFCZYNIE

Przed wojną plenerowe studia, (na otwartym powietrzu) w Akademii Sztuk Pięknych były prowadzone pod kierownictwem ś. p. prof. Tadeusza Pruszkowskiego w Kazimierzu nad Wisłą.

Akademia Sztuk Pięknych nie miała studiów plenerowych objętych programem; jechał, kto chciał i kiedy chciał w czasie wakacji, a więc: w lipcu, sierpniu, wrześniu, żył w Kazimierzu własnym kosztem i przemysłem, korzystał jedynie z modela opłacanego przez Akademię i korekty profesora lub jego asystenta.

Dziś przy dużych wymaganiach właścicieli domków i trudościach stołowania się prywatnie, jest nie do pomyślenia, by student mógł się zdobyć na wyjazd z własnej inicjatywy, trzeba mu było ten wyjazd i pobyt ułatwić, tym bardziej, że letnie studia włączone zostały do obowiązującego programu.



Toteż Rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie profesor Stanisław Ostoja-Chrostowski, korzystając z przychylnego ustosunkowania się do sprawy Ministerstwa Kultury i Sztuki w osobie b. Ministra a obecnego Marszałka Sejmu Władysława Kowalskiego, ze specjalnych na ten cel przeznaczonych funduszów wydzierżakiem profesora i asystentów na przeciąg 4 do 5 tygodni.

Po niezmiernie ciężkich warunkach w Warszawie, gdzie niewspółmiernie szczuple pracownie rzeźby, malarstwa i grafiki rozrzucone są w różnych punktach miasta, a studenci nie mają bursy i mieszkają gdzieś kątem — młodzież może zaczerpnąć trochę oddechu w Suffczynie, gdzie ma i sprzyjający klimat do pracy artystycznej i dobre warunki zdrowotne i należyte odżywianie i możliwość uprawiania sportów.

Gorliwsi już o 5-ej rano przed śniadaniem rozpoczynają swą pracę, innych dopiero zmrok i gong, zapraszający na posiłek, ściągają do pałacu, nie odstrasza ich zimno, ani upał.

W roku bieżącym sezon wiosennych studiów rozpoczął Wydział Grafiki pod kierownictwem profesora Edmunda Bartłomiejczyka. Studenci najpierw zbiorowo pod opieką profesora, później grupkami, wreszcie indywidualnie — studiowali pejzaż wiosenny, tak ponętny dla techniki graficznej.

Korzystając z dużych ułatwień, jakie daje im Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie w postaci materiałów, a w tym wypadku papierów przedrukowych, specjalnie spreparowanych, i kosztownej kredy litograficznej, młodzież pracowała z zapałem od świtu do nocy.

Zachęceni przykładem pracowitego profesora, pozbawieni codziennych kłopotów, studenci pracowali z całkowitym oddaniem się i z dobrymi rezultatami.

Siatkówka, spacery, a ostatnio i kąpiel, wieczorem improwizowane koncerty i tańce urozmaicały młodzieży pobyt w Suffczynie.

Na zakończenie, przy ognisku zostały spalone prace początkowo nieudolnie rysowane.

Na wieść o zabawie, przybyła do parku cała wieś, dzieci śpiewały przy ognisku piosenki, których się nauczyły w szkole miejscowej, a młodzież tańczyła ze studentami ochoczo.

Rezultatem pracy na studiach plenerowych będzie wydanie albumu suffczyńskiego w technice litograficznej, który będzie odbity w doświadczalnej pracowni Wydziału Grafiki.



Rys. I. Wiłon Z Suffczyna

wił odpowiedni, dawniejszy pałacyk we wsi Suffczyn, położony nad Świdrem, 42 kilometry od Warszawy.

Trudno by było dokonać lepszego wyboru w tak bliskiej od Warszawy odległości. Las, rzeka, rzeczki, stawy, malowniczy falisty teren, różnorodna roślinność, wiele starych zagród wiejskich w promieniu kilku kilometrów, to całe bogactwo tematów do studiów malarskich i rysunkowych.

Suffczyn, Ośrodek Plenerowy Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie został uruchomiony z początkiem lata ubiegłego roku. Studenci wyjeżdżają na studia plenerowe kolejno pracowniami pod kierun-

Beztroski, choć bardzo pracowity pobyt pracowni profesora Edmunda Bartłomiejczyka został zakończony. Studenci Wydziału Grafiki pojadą do Suffczyna jeszcze raz na studia malarskie pod kierunkiem profesora Adama Gerż bka.

Udekorowanym odpowiednimi napisami i ukwieconym ofiarowanymi kwiatami samochodem, z bukietami kwiecia wróciła młodzież do Stolicy, by zaraz na drugi dzień stanąć z łopatami do czekającego na nich obowiązku społecznego. Od wtorku 13 maja studenci Wydziału Grafiki rozpoczęli pracę przy odbudowie byłego Pałacu Raczyńskich na Krakowskim Przedmieściu, przeznaczonego na siedzibę Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

PRZYGODY ZAGŁOBY

INSPEKCJA

Rys. Jerzy Zaruba



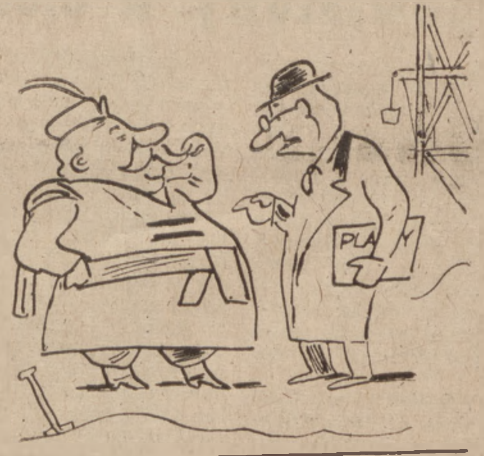
— Hola, jest tam kto? Dawać tu najstarszego inżyniera! Budowlaną inspekcję przeprowadzić zamierzam.



— Piasku za dużo nie sypać, bowiem piasek kruchość wytwarza. A domy tej Spółdzielni muszą być mocne, jak skała!



— Nie podoba mi się ta brama, żadna szersza kolaska przez nią nie przejedzie. Wszystkie bramy poszerzyć! A to co? Jakoweś place sportowe? Tenis, powiadasz waćpan? Całkiem zbyteczne. Pobudować w tym miejscu stajnie na szesnaście cugowych, zrozumiano?



— Tak jest. Wszystkie poprawki skrupulatnie wykonamy. Szanowny pan jest zapewnie naczelnikiem z BOS-u?

— Co tam z BOS-u! Z samej Spółdzielni Mieszkaniowej! Właśnie dziś złożyłem podanie o przyjęcie mnie na członka.

SPÓŁDZIELNIE ZDROWIA I APTEKI SPÓŁDZIELCZE NA WSI

Jedną z najoryginalniejszych form spółdzielczości w Polsce są spółdzielnie zdrowia. Jest ich niewiele, zaledwie dziesięć. Dziewięć z nich zawiązało się na wsiach.

Są one tam najpotrzebniejsze, gdzie nie ma lekarzy, ani personelu sanitarnego. Po staremu królują w lecznictwie wiejskim znachorzy, a w najlepszym wypadku felczerzy.

A stan zdrowotności na wsi nie jest dobry. Nadal grasuje gruźlica, różnych odmian reumatyzmy i artretyzmy oraz szereg „dyskretnych" chorób, nabytych na przymusowych robotach w Niemczech.

Światlejsze jednostki na wsi rozumieją potrzebę walki z tym groźnym stanem. Chcą one mieć lekarza, akuszerkę, higienistkę i dostępne dla wsi leki. Toteż obok wołania o lekarzy i personel sanitarny pojawiają się dążenia do stworzenia na wsi aptek spółdzielczych, zaopatrzonych w należyte lekarstwa.

Szczególnie to ostatnie zagadnienie mocno jest dyskutowane wśród działaczy wiejskich. Jak wiadomo, małomiasteczkowe apteki, jedyne do tej pory źródło zaopatrywania wiejskiej ludności w leki, nie stoją na wysokości zadania. Brak im wielu środków leczniczych, zresztą ich stosunek do chorego jest więcej jak merkantylny, łupią bowiem skórę za podejrzanej wartości lekarstwa.

W tym stanie rzeczy jedynym sposobem rozwiązania tej dokuczliwej bolączki jest wprowadzenie na wieś aptek spółdzielczych, opartych o spółdzielnie zdrowia. Nie jest to rzecz łatwa. Urządzenie apteki wymaga sporego kapitału, a również o lekarstwa w Polsce nie jest łatwo. Poza tym trzeba się liczyć z brakiem aptekarzy, którzy wolą, jak i zresztą lekarze, przebywać w miastach, niż na głębokiej wsi.

Niemniej zagadnienie to musi być ruszone z miejsca. Sprawą spółdzielni zdrowia, aptek wiejskich i przesuwaniem personelu leczniczego na wieś powinno się żywiej zainteresować Ministerstwo Zdrowia. Chodzi nie tylko o koncesje na spółdzielcze apteki na wsiach, ale również o pomoc w postaci kredytów pieniężnych i zaopatrzenie w leki aptek wiejskich. Wieś powinna otrzymać lekarstwa po cenach nie wyższych, niż te, które płaci mieszkaniec miasta.

Poza państwem, pomocą dla spółdzielni zdrowia na wsi winien się także zająć samorząd terytorialny: gminne i powiatowe rady narodowe. Ich pomoc finansowa przy tworzeniu spółdzielczych aptek wiejskich byłaby poważnym czynnikiem, pobudzającym wieś do organizowania spółdzielni zdrowia.

Niezawodnie dużą rolę w zaopatrzeniu wsi w personel leczniczy odegrałyby stypendia dla młodzieży wiejskiej, okazującej ochotę do studiów medycznych i farmaceutycznych. Naturalnie takich stypendystów należałoby związać obowiązkiem powrotu po studiach na wieś.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
W kolorze — 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12
B-20098

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

W ciągu zimy spożywamy stosunkowo mało jarzyn — obecnie na rynku coraz więcej widzimy „nowalijek", które tanieją z dnia na dzień. Pozwala nam to na urozmaicenie naszego jadłospisu.

W dużych ilościach pokazał się szpinak.

Przebieramy pół kilo młodego szpinaku, płuczemy i gotujemy w osolonej wodzie bez przykrycia (inaczej straci kolor) przez 5 minut. Odcedzony, wyciśnięty z wody i posiekany, układamy równą warstwą na ogniotrwałym półmisku. Na szpinak kładziemy jaja w koszulkach (ugotowane w wodzie z octem) i pokrywamy gęstym beszamelem, sporządzonym z jasnej zasmażki, zalanej szklanką mleka z dodatkiem szczypty soli oraz pieprzu. Beszamel należy zagotować, a kiedy dobrze zgęstnieje, zalewa się nim jaja na szpinaku i wstawia na 10 minut do gorącego pieca. Do tej potrawy można podać osobno smażone kartofle lub grzanki z bułki. Grzanki robimy w następujący sposób: plastry bułki moczymy w mleku z robitym jajkiem i smażymy z obu stron na maśle.

Zapiekana kalarepka

Obraną i pokrajaną w plastry kalarepkę gotuje się w małej ilości wody z masłem, cukrem i solą. W ryneczce, wysmarowanej masłem, układa się warstwami duszoną kalarepkę i siekaną szynkę. Zalewa się śmietaną z odrobiną mąki, skrapia się masłem i zapieka w piecyku.

Kalarepka faszerowana

Wydrążyć środek kalarepek i wypełnić je farszem z mielonego mięsa (wieprzowego i cielęciny). Farsz robimy następująco: mięso solimy, dodajemy jajko, trochę ryżu lub kaszy ugotowanej na sypko. Napełnione farszem kalarepki układamy na ogniotrwałym półmisku, zalewamy śmietaną i dusimy w piecu pod przykrywką tak długo, aż kalarepki będą miękkie.

Zupa z rabarbaru

25 dkg rabarbaru wymyć, nie obierając go, pokrajać w kawałki i rozgotować. Następnie przetrzeć przez sito, osłodzić, zagotować i zaprawić ½ szklanką śmietany z łyżeczką mąki kartoflanej i surowym żółtkiem. Do tej zupy możemy podać słodkie grzaneczki.

Jak pracują oddziały „Społem".

ODDZIAŁ POWIATOWY W SIERPCU

Oddział Powiatowy „Społem" w Sierpcu, ul. Piastowska 48, istnieje od marca 1945 r., zaopatruje w towary 27 spółdzielni pow. sierpeckiego, zatrudniając 55 pracowników. Poza działem kolonialno - spożywczym Oddział prowadzi działy: włókienniczy, materiałów budowlanych i opałowych, hurtownie soli, wyrobów PMS, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych oraz składnicę w Raciążu.

Obroty Oddziału w 1946 r. dały kwotę 158.430.000 zł. Na bieżący rok preliminowano je w wysokości 327.000.000 zł. Magazyny Oddziału są niedostateczne i rozrzucone są w czterech odległych punktach miasta, co w wysokim stopniu utrudnia pracę. Projektuje się przebudowę jednego z tych magazynów i budowę nowego. Tabor Oddziału składa się z dwóch samochodów. Należałoby ilość ich powiększyć do pięciu.

Powiat nosi charakter wybitnie rolniczy, a w czasie działań wojennych został mocno zdewastowany. Pojemność rynku jest duża, toteż Oddział ma trudności w zdobyciu odpowiedniej ilości towarów. Sieć Spółdzielni jest niedostateczna. Jeszcze w bieżącym roku powstanie piętnaście nowych spółdzielni w różnych punktach powiatu.

Współpraca Oddziału z instytucjami państwowymi, komunalnymi i politycznymi jest zupełnie dobra. Oddział, którego kierownictwo spoczywa w ręku p. dyr. Piotra Edmunda Wierzbickiego i jego zastępcy p. Mieczysława Ossowskiego, bierze żywy udział w życiu gospodarczym powiatu, wpływając wydatnie na obniżenie i regulację cen. (a)

ODDZIAŁ POWIATOWY W PŁONSKU

Oddział Powiatowy „Społem" w Płońsku, ul. Glinojecka, blok XI, powstał w lipcu 1945 roku. Zaopatruje w towary 23 spółdzielnie wszystkich typów z terenu całego powiatu płońskiego, zatrudniając w chwili obecnej 31 pracowników.

Poza działem spożywczo - kolonialnym Oddział prowadzi: artykuły włókiennicze, narzędzia rolnicze, materiały budowlane i opałowe oraz hurtownię soli, wyrobów PMS, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych.

Obroty Oddziału w 1946 r. dały 94 miliony zł, a na bieżący rok preliminowano je w wysokości 164 milionów zł.

Magazyny Oddziału są niedostateczne i położone są w trzech różnych punktach miasta. Projektowane jest kupno placu przy kolei, na którym wzniesionoby nowe magazyny z własną bocznicą kolejową. Ponadto przewidywane jest kupno wypalonego podczas działań wojennych domu po Banku Spółdzielczym przy ulicy Płockiej, który po remoncie i przebudowie pomieściłby biura Oddziału.

Charakter powiatu jest zdecydowanie rolniczy. Rynek jest chłonny — odczuwa się brak towarów. Sieć spółdzielni w powiecie jest niedostateczna. Jeszcze w bieżącym roku powstanie na terenie powiatu 20 nowych spółdzielni.

Współpraca ze spółdzielniami jest dobra, 90 proc. swego zapotrzebowania na towary pokrywają one w Oddziale. Istniejąca przy Oddziale Rada Oddziałowa żywo współpracuje ze Spółdzielniami i kierownikiem Oddziału, którym jest ob. dyr. Jerzy Mystkowski — wytrawny działacz spółdzielczy.

On to Oddział zorganizował i po dzień dzisiejszy prowadzi. (a)

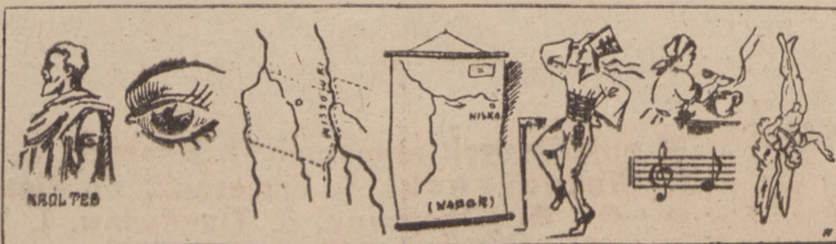
(a)

IV KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach. Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, Szpitalna 5 m. 8 do dnia 28 czerwca br.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez Czytelników przyznane będą nagrody książkowe. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczanych zadań jeszcze bardziej podniesie się.



SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia.

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ. NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała p. Eugenia Mazurkówna, studentka U. Ł. (Łódź, ul. Krucza 8, m. 1) za nadesłanie ogłoszenia z „Expressu Ilustrowanego".

Poszukuje energicznych zbieraczy odpadków mężczyzn i kobiet. Wózki daje firma do dyspozycji. Zgłoszenia: Surowce Odpadkowe Łódź, Sienkiewicza 28 („Express Ilustrowany" Nr 103/05).

Po polsku nie mówi się: „odpadków mężczyzn i kobiet", lecz: „odpadków męskich i kobiecych".

„OBSŁUGA WŁASNA"

MOSKWA, (obsł. wł.). Piąty maja obchodzony był w całym Związku Radzieckim jako dzień pracy i rocznica ukazania się pierwszego numeru „Prawdy". Dziś w ZSRR wychodzi ogółem 700.000 dzienników o nakładzie 30 milionów egzemplarzy. („Ilustrowany Kurier Polski" Nr 122).

Dzielimy 30 milionów przez 700.000. Otrzymujemy przeciętny nakład dziennika — 43 egzemplarze. To się dopiero nazywa — gospodarka papierem. Nie to, co u nas.

I TO TAKŻE CHOCHLIK

„Szczęście Frania", jak zresztą wszystkie prawie sztuki Perzyńskiego, należy do tzw. samograjów. Dobrze postawione charaktery, klarowna i wartka akcja, ręczny dialog — to walory, które walnie pomagają aktorom... („Dziennik Łódzki" Nr 120/670).

„Ręczny dialog" nie oznacza rękoczynów. Powinno być: zręczny dialog. Też tylko jedna litera, a różnica wielka.

NIE TRZEBA SIĘ SPIESZYĆ

Na stacji kolejowej Bishopsgate w Londynie wybuchł w niedzielę strajk pracowników kolejowych. W poniedziałek do strajkujących przyłączyło się 17 tys. pracowników zatrudnionych na 5 innych stacjach w Londynie. We wtorek 12 tys. robotników oraz dyrekcja kolei nie dały jeszcze rezultatu, („Trybuna Pomorska" Nr. 110/578).

Niedziela, poniedziałek, wtorek... No, jest jeszcze środa, czwartek, piątek, sobota. Czekajmy. Może jakiś rezultat dadzą.

JAK TO SIĘ ROBI?

Państwowa Fabryka Superfosfatu w Szczecinie zatrudni ślusarza z umiejętnością spawania ołowiu ze świadectwami. Al. Jedności Narodowej Nr. 44. („Kurier Szczeciński" Nr. 86).

Czyżby w ten sposób wytwarzało się superfosfaty?

NIC NIE WIADOMO

Jak wiadomo, koral, służący do ozdób damskiego stroju, jest to krzew, rosnący w morzu. Koral wydobyty z wody na powietrzu twardnieje, („Rzeczpospolita" z dn. 26.3.1947).

Że twardnieje, to rzecz możliwa: w wodzie, jak wiadomo, jest mokro, a na powietrzu, jak wiadomo, sucho, chyba że deszcz leje. Ale dlaczego ma być krzewem? Dotychczas, jak wiadomo, był rafą, wyspą i atolem, chociaż niektórzy uczeni bajdurzyli, że jest jamochłonem, i to rozdzielnopłciowym, zupełnie jak człowiek i nawet rozmnażającym się podobnie

Stefania Grodzieńska

PICHCIŃSKA

Beba: Spójrz, przy tamtym stoliku siedzi Pichcińska. Nie znoszę tej baby.

Biba: Ja też nie znoszę. Ale to nie jest Pichcińska.

Beba: No wiesz, przyjrzyj się! To na pewno Pichcińska!

Biba: Która? Ta tleniona na pomidorowo?

Beba: Tak. Ta tleniona na pomidorowo. Pichcińska.

Biba: To nie Pichcińska. Pichcińska ma krzywe nogi.

Beba: Ale skąd. Ta z krzywymi nogami, to Baptasiewiczowa. Co się tak niegustownie ubiera.



Spójrz, przy tamtym stoliku siedzi Pichcińska

Biba: Jaka znów Baptasiewiczowa? Ta, co się tak niegustownie ubiera, to Kopścińska. Baptasiewiczowa, to ta, co ma takie zmarszczki pod oczami.

Beba: Ta, co ma takie straszne zmarszczki? To na pewno masz na myśli Flapkowską.

Biba: No wiesz? Flapkowskiej nie znam, czy co? Jeszcze byłam w szkole w niższych klasach, jak ona wyszła zamąż za tego hochsztaplera, co to ją potem rzucił dla fordanserki.

Beba: To ci się znów pomyliło. Ta, którą mąż rzucił dla fordanserki, to Japakowa.

Biba: Kiedy Japakową mąż rzucił, nie było jeszcze fordanserki. On od niej po prostu odszedł, bo mu wciąż urządzała sceny. To skończona histeryczka.

Beba: Histeryczka? Ta, która uderzyła męża parasolką w lokalu? To Sipińska! Sipińska, Sipińska, oczywiście!

Biba: Co ty opowiadasz. Nigdy w życiu nie pomyliłabym z nikim Sipińskiej. Takiego zeza widzi się z daleka.

Beba: Ha, ha, ha! Alež ty przesadzasz! Zeza! Sipińska ma zeza? To co powiesz o Trzypkowskiej?

Biba: Przecież nie mówię, że Trzypkowska nie ma zeza. Ale powiem ci, że to, co ona potrafi wsadzić na głowę, przyćmiewa nawet jej zeza. Skąd ona bierze takie kapelusze?

Beba: Jeśli mówisz o kapeluszach, to chyba masz na myśli Trafalską. Cośmy to zwróciły obie uwagę. Pamiętasz, takie ogórki miała na głowie poprzyczepiane, czy coś takiego.

Biba: To nie była Trafalska, doskonale pamiętam. Przynajmniej Trafalskiej mogłabyś nie mylić z nikim innym. Ona ma przecież prawe ucho jeszcze bardziej odstające, niż lewe.

Beba: Ta z odstającymi uszami, to Tupczakowa.

Biba: Ta gruba Tupczakowa? Skąd wiesz, jakie ona ma uszy? Jej jest tyle, że takich małych rzeczy, jak uszy, w ogóle się nie widzi.

Beba: Wybacz, ale już zupełnie pokręciłaś. Ta tłusta, o której mówisz, to Papcińska, co ma jednego amanta dentystę, a drugiego właściciela sklepu na Marszałkowskiej.

Biba: To Pichcińska ma jednego amanta dentystę, a drugiego właściciela sklepu na Marszałkowskiej!

Beba: Pichcińska? Ale ona wcale nie jest tłusta, przyjrzyj jej się, przecież tam siedzi!

Biba: Ta tleniona na pomidorowo?

Beba: Tak. Ta tleniona na pomidorowo.

Biba: To na pewno nie jest Pichcińska.

Beba: Wiesz, że może masz i rację. Ale kto to jest w takim razie?

Biba: Nie mam pojęcia. Wcale jej nie znam.

Beba: Powiem ci zabawną rzecz. Ja też jej nie znam.

Biba: Popatrz! I od godziny rozmawiamy o zupełnie obcej kobiecie!

KOTURNY i SANDAŁY











Oto w czym chodzi dziś elegancka Europejka. Podajemy kilka modeli tych ekscentrycznych bucików, wzorowanych na modelach starożytnych, które w bieżącym sezonie lansuje Paryż.



Rys. Jan Lenica

— Jak będziesz grał takie powolne marsze, to mi włosy nie wyschną!...

Z cyklu: Dowcipy historyczne



ROZTARGNIENIE

W najbliższych numerach: J. Huszcza, E. Ligocki, T. Łopalewski, K. Małcużyński, L. Pasternak, St. Piętak, Z. Szweykowski, I. Śpiewak, G. Timofiejew, J. Wiktor i inni